CENA 15 ZŁ
(WRAZ Z CEGIEŁKĄ NA DOM SŁOWA POLSKIEGO)

Odra

Tygodnik

Odra jest rzeką politycznej koncepcji Polski Piastowskiej.
Józef Kisielewski: „Ziemia gromadzi prochy"

NUMER 30 (87) KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN — DNIA 27 LIPCA 1947 ROKU ROK III

BIBLIOTEKA ... NAUKOWO ... WYŻSZA SZKOŁA HANDLU MORSKIEGO w GDYNI

PAWEŁ KUPKE

NIETZSCHE
przed trybunałem denazyfikacyjnym

Nietzsche dzieli z Ryszardem Wagnerem nieprzyjemną rolę proroka III Rzeszy. Szerokim masom daleko poza granicami Niemiec znany jest jako twórca legendy o nadczłowieku i jasnowłosej bestii a jego „wola mocy" (Wille zur Macht) uważana jest za skrót polityczno-ideowy ery hitlerowskiej. Ale oto już pojawiły się zwłaszcza w Niemczech, głosy próbujące dokonać pełnej rehabilitacji Nietzschego. Sam Tomasz Mann w wygłoszonym ostatnio na kongresie PEN-klubu w Zurychu referacie, podjął się tej rehabilitacji, starając się udowodnić, że filozofia Nietzschego w niczym nie zawiniła powstania III Rzeszy. Mann jednak żył przez cały czas hitlerowskiego władania w dalekiej Kalifornii, zdala od amfiteatru, w którym złe moce nietzscheańskiej filozofii przemieniały Niemców w prawdziwe bestie, — a nadto przeszedł niebezpieczną ewolucję w kierunku mistycyzmu i swoiście pojętego psychologizmu, dając temu wyraz zwłaszcza w wydanej niedawno w Szwajcarii swej korespondencji z węgierskim filozofem i historykiem religii Karolem Kereneyi. Ale obrony Nietzschego podejmują się nie tylko wielkie nazwiska. Raz po raz słyszy się o odczytach na ten temat w najmniejszych nawet miasteczkach Niemiec, z dyskusją a jakże — i w ten sposób te prowincjonalne posiedzenia przeobrażają się powoli w formę miniaturowych posiedzeń denazyfikacyjnych, z których oskarżony Nietzsche wychodzi jako zwycięzca.

Cała zaś polemika o Nietzschego, prowadzona z równym natężeniem w całym świecie — ostatnio ciekawe głosy odezwały się w Rosji, Austrii, Czechosłowacji, Francji — przypomina wielki proces denazyfikacyjny, w którym rolę obrońców grają nie tylko Niemcy, a rolę oskarżycieli nie tylko nie-Niemcy. W ten sposób casus Nietzsche to zjawisko sądowe, ogólnoświatowe, ogólnoludzkie.

Spróbujmy nakreślić zarysy tego procesu, wynotować za i przeciw, na podstawie opinii wyrażonych dotąd w prasie niemieckiej i zagranicznej. Wbrew zwyczajowi udzielimy najpierw głosu obronie, pozostawiając na koniec replikę, która jest zarazem oskarżeniem. Niech to będzie dowodem na to, że w procesie tym nie pragniemy być bezstronni, że chcemy się przyłączyć do głosu oskarżyciela, który winien być głosem ostatnim.

OBRONA MA GŁOS

Wysoki Trybunale! Chcielibyśmy się na początek zastrzec przeciwko łączeniu Nietzschego z Wagnerem. Wagner to typowy Niemiec w swym nadmiarze czci dla fałszywego bohaterstwa i w skłonności do mistycznego obłędu. W muzyce Wagnera widzi się i chaos i brak miary, jest to muzyka, ukazująca prawdziwie pragermańskie formy myślenia i sztuki. Nietzsche tymczasem to jedyny prawie Europejczyk i „obywatel świata", jakiego Niemcy u schyłku XIX w. przeżyły, jeden z nielicznych, jakich Niemcy posiadały. Oskarżyciele mają prawo przedstawienia i powtórzenia tych wszystkich myśli Nietzschego, które wzbudzają podejrzenie wzniecania, odchowywania i pielęgnowania faszyzmu. Naszym dobrym prawem jest zacytować z drugiej strony to wszystko, co Nietzsche powtórzył by dziś na swoją obronę, gdyby przyszło mu stanąć przed takim denazyfikacyjnym trybunałem.

Jako świadków obrony na tę rozprawę wezwaliśmy jedynie „Jutrzenkę", „Wiedzę radosną", „Niewinność rozwoju" i „Niewczesne rozważania". W jaki sposób zachowują się w niemieckich procesach denazyfikacyjnych obciążeni jakąś winą wobec ludzkości i demokracji przy wyborze świadków? Po prostu zamawiają sobie kogoś „niearyjskiego" pochodzenia, który by poświadczył, że oskarżony bynajmniej nie był antysemitą. Jak się ma ze sprawą tą w wypadku Nietzschego? Zacytujemy króciutko z „Wiedzy radosnej" głos Nietzschego o Żydach, który świadczy o nieposiadaniu przez oskarżonego żadnych uprzedzeń rasistowskich: „Europa pod względem logiczności i jaśniejszych zwyczajów myślowych niemało Żydom zawdzięcza; przede wszystkim zaś Niemcy jako godna pożałowania, prawdziwie deraisonable rasa... wszędzie, gdzie Żydzi zdobyli wpływ, uczyli celniejszego dzielenia, ostrzejszego wnioskowania, jaśniejszego i czystszego pisania: zadaniem ich było zawsze przywodzić naród „do rozumu". Co by na to powiedział Goebbels? Takich i podobnych pozytywnych ocen Żydów spotkamy pełno w „Jutrzence". Gdzie indziej jednym zdaniem przekreśla Nietzsche późniejsze osławione „ustawy norymberskie": „Z pomieszania ras powstaje źródło wielkich kultur". „Ile kłamliwości trzeba posiadać, by w dzisiejszej pomieszanej Europie poruszać problemy rasistowskie". „Maksyma: nie zadawaj się z człowiekiem, który bierze udział w zakłamanym rasistowskim szwindlu" („Europa/Niemcy").

Możemy zatem spokojnie uwolnić Nietzschego od zarzutu rasistowskiej zarozumiałości. Jest rzeczą jasną, że z człowiekiem wypowiadającym takie zdania nie przebywałby w towarzystwie Goebbels, Streicher czy Rosenberg.

Jemu, prawdziwemu Europejczykowi, obce były wielkoniemieckie tęsknoty i nacjonalistyczna przesada. Wyraźnie powiedział w „Wiedzy radosnej", że to co we Francji nazywa się szowinizmem, w Niemczech nosi nazwę niemieckości. „Deutschland, Deutschland über alles" to najgłupsze chyba hasło, jakie kiedykolwiek padło. Dlaczego w ogóle Niemcy — pytam się: jeśli nie przedstawiają i nie chcą czegoś, co miałoby większą wartość, niż głosi to jakakolwiek inna dotychczasowa potęga? Jeszcze jedno wielkie państwo, jeszcze jedna więcej niedorzeczność w świecie". Erę Bismarcka w tej samej „Niewinności rozwoju" nazywa „erą niemieckiego ogłupiania". W III Rzeszy żywemu odebranoby chyba obywatelstwo za pogląd, że aby być dobrym Niemcem, trzeba się odniemczyć". W „Niewczesnych rozważaniach" zdanie po zdaniu bije w istnienie III Rzeszy: „Tu przeżywamy zatem skutki ze wszystkich dachów głoszonej nauki, że państwo jest najwyższym celem ludzkości i że nie ma wyższych obowiązków nad służbę państwu, w czym widzę nie tyle powrót do pogaństwa ile powrót do głupoty". I dalej: „Wszystko służy nadchodzącemu barbarzyństwu razem z dzisiejszą sztuką i nauką". Dalej: „O naszych największych ludziach można zawsze powiedzieć: oby byli więcej geniuszami a mniej aktorami!" I jeszcze: „Wielcy ludzie nie posiadają w Niemczech ogromnego środka wychowawczego: śmiechu, wielcy ludzie w Niemczech nie śmieją się". I tak cytat za cytatem mógłby przytoczyć oskarżony na swoją obronę. Nienawidził militaryzmu, walczył przeciwko fałszywemu bohaterstwu („Męstwo przed wrogiem to rzecz sama dla siebie; z tym wszystkim wciąż jeszcze można być tchórzem i niezdecydowanym pomyleńcem" — „Wiedza radosna"), wykpiwał zwierzęce posłuszeństwo niemieckich mas. Na wszystko to dość znajdziemy cytatów i wszystko to wskazuje na to, że Nietzsche, gdyby żył, należałby do grupy pierwszych emigrantów. „Zdarzają się naprawdę ludzie którym wydaje się, że uczczą daną rzecz przez nazwanie jej niemiecką. Jest to szczyt narodowej głupoty i bezczelności" — oto jeden jeszcze cytat z „Niewinności rozwoju", który powiększyłby mu liczbę wrogów.

Podaliśmy, jakby się zachował Nietsche w stosunku do III Rzeszy i rządzącej nią kliki oraz jak ustosunkowanoby się do niego, gdyby w tym okresie żył. Ponieważ jednak nie żył, nie mógł się bronić. Nie mógł się bronić przed jednostronnymi interpretacjami do jego dzieł i myśli, nie mógł się bronić przed tytułami, które mu przypisano, a które, jak stwierdziliśmy, uważał za hańbiące i wstrętne.

REPLIKA I OSKARŻENIE

Obrona zasypała nas cytatami. Wierzę, że gdyby czas na to pozwolił, mogłaby przytoczyć ich o wiele więcej, sięgając również i do innych dzieł. Szanowna publiczność promienieje z radości, że obrońca w tak łatwy sposób zdołał oczyścić Nietzschego — Europejczyka z zarzutów. Nie naszą jednak sprawą jest rozstrzyganie procesowe zagadnień, co uczyniłby Nietzsche gdyby żył. Można by bowiem, opierając się na podobnej liczbie innych cytatów, przewidzieć, że Nietzsche zostałby dajmy na to kolaborancjonistą albo nawet Parteigenossem z niskim numerem. Nie do nas należy jednak wizjonerstwo.

Obronie wydaje się, że ukazała dowody nieznane i bezsporne. Ależ i my byliśmy czytelnikami Nietzschego, wszystko to znamy. Przecież nikt z nas nie stwierdził, że Nietsche jest odpowiedzialny za pogromy żydowskie. Żeby być antysemitą, trzeba być wykształconym i wychowanym od Nietzschego. Nie zapominajmy zresztą, że swojemu przyjacielowi Żydowi Rhinowi, Nietzsche zawdzięcza niejedną myśl, a inny Żyd Georg Brandes był tym, który pierwszy wydobył Nietzschego z mroku i pokazał Europie. Również i drugiego zarzutu, posądzającego Nietzschego o nacjonalizm, nikt z nas nigdy poważnie nie wysuwał. I w tym wypadku zatem kłopoty obrony o odpowiednią ilość dowodów były zbyteczne. Z obu tych zarzutów nie trzeba Nietzschego uwalniać, bo nie był on ani antysemitą ani nacjonalistą.

Chodzi o zupełnie inne rzeczy, o zupełnie inną treść szkód wyrządzonych przez Nietzschego. Chodzi przede wszystkim o fałszywą moralność, którą głosił, o przewartościowanie wszystkich wartości, z którego był taki dumny, a co miało zabójczy wpływ na Niemców. Zresztą nie tylko na Niemców. Głównym świadkiem na umyślne i moralne zepsucie, jakiego dokonał swoim „Poza dobrem i złem", jest Mussolini, przyznający sam, że dzięki poznaniu dzieł i nauk Nietzschego stał się zupełnie innym człowiekiem. Nietzscheańskie hasło: „Narażajcie się na niebezpieczeństwo życia", włoski kabotyn zmienił w: „Lepiej dzień jeden przeżyć lwem niż rok cały owcą". Takimi przesadnymi hasłami wzniecał Nietzsche fałszywe bohaterstwo, obracające się potem przeciw narodom bezbronnym. Zresztą pamiętajmy na marginesie, że Nietzsche był mistrzem sofizmatu, w pismach jego roi się od sprzeczności. Ale nie mniej pamiętajmy też, że Nietzsche wielbił Cezarego Borgię, którego ręce na długo przed Hitlerem pełne były krwi. Człowiek pozbawiony współczucia, który upadającego popycha, wspaniale wycięta jasnowłosa bestia, Herrenmensch, wojna uświęcająca każdą rzecz, Antychryst — oto niektóre tylko zjawiska i pojęcia, czczone i chwalone przez Nietzschego. Co brutalne, surowe i pozbawione litości, to znajduje u niego łaskawe oko. Nieludzkość może się na niego równie dobrze powołać jak amoralność. Nietzsche, przeciwnik miłości bliźniego, to strome zbocze ku przepaści zbrodni.

Z wściekłością atakuje demokrację, jej intelektualną siłę i obyczajową wielkość. — Dzięki wspaniale opanowanej demagogii wywiera na początku wieku XX wielki wpływ na szerokie kręgi ówczesnej inteligencji europejskiej, która także i dzięki Nietzschemu z trudnością pojmuje nieuniknioną nadchodzącą rewolucję socjalną. Ma to miejsce zwłaszcza wśród rosyjskich dekadentów, u Biełyja, Wiaczesława Iwanowa, Gumilowa. Sokratesa nazywa ojcem demokracji (co jest błędem, bo skłonność do demokracji [illegible] sofiści, z którymi Sokrates walczył) — ale przeciwko tak pojętemu Sokratesowi obraca Nietzsche całą swoją nienawiść. Walczy z rozumem i dialektyką, przeciwstawiając im instynkt i sztukę. Pojęciem prawdy operuje Nietzsche w dwojaki sposób: raz za pomocą swoich „przewartościowań" obala ją całkowicie, innym razem potwierdza ją, o ile jej potrzebuje dla jakiegoś określonego celu. Podobnie postępuje z moralnością, z historią. Sofistyczną elastyczność pojęć wypracował sobie w sposób niezwykle wirtuozyjny. Pochwala pasożytnictwo!

Czas, byśmy dzisiaj przeczytali Nietzschego na nowo i inaczej. W kręgu dogasającego płomienia zakończonej dwa lata temu hitlerowskiej wojny wyczytamy zdania, których istotny sens przed wojną mógł być dla nas tajemnicą. „Po owocach ich poznacie je" — ten ewangeliczny werset niech nakreśli nam sposób, w jaki odczytamy Nietzschego na nowo.

I jeszcze jedno, co dyskwalifikuje Nietzschego już nie jako filozofa tylko ale i jako człowieka. Życie jego było w wyraźnym konflikcie z tym co pisał i głosił. Uczył odwagi do życia, a sam przed jego niebezpieczeństwami uciekał, szukając wygody. Kiedy pod koniec w latach obłędu spotykał się ze współczuciem i ofiarnością otoczenia, książki jego już wtedy gwałtownie wykpiwały miłość bliźniego i współczucie, miłosierdzie i pokój maluczkich. Hitleryzm wiele się od niego nauczył!

Dlatego żadna obrona nie uchroni go przed banicją. Nie tylko dlatego nie wolno mu wejść na nowo w społeczeństwo świata, a zwłaszcza w społeczeństwo niemieckie, że był gorącym przeciwnikiem socjalizmu, który w zburzonej przez nietzscheański hitleryzm Europie, budować przyszedł lepszą przyszłość, ale także i dlatego, że świat, który tęskni za moralnością poznał jego zbrodniczą moralność, antysocjalistyczną, antychrześcijańską, antyludzką.

Nietzsche nie może być zdenazyfikowany! Trzeba by bowiem za taki wyrok zapłacić straszliwą cenę, którą znowu wyznaczyłby Europie naród niemiecki.

STANISŁAW TELEGA

Dramat
Romana Wołowskiego

Było to gdzieś w 1933 r., gdy pewnego dnia prof. Stan. Pigoń pokazał mi dziwną pocztówkę, która nadeszła z Niemiec na Uniwersytet Jagielloński. Byłem wtedy pochłonięty pisaniem pracy magisterskiej na temat udziału Seweryna Goszczyńskiego w towianiźmie i rozczytywałem się z ciekawością w fascynujących, rękopiśmiennych pamiętnikach autora „Zamku Kaniowskiego", dotyczących właśnie mistycznego ruchu polskiej emigracji po r. 1831. Wertowałem tym pilniej te pamiętniki, że w owym właśnie czasie wybuchła nowa „bomba literacka", od której dymy poszły po całej literackiej Polsce. Wal. Charkiewicz ogłosił mianowicie na łamach „Wiadomości literackich" nieznane dokumenty o Towiańskim, przedstawiające tego „Mistrza", w którego boskość uwierzył nawet Mickiewicz (origo eius autem divina!) jako szarlatana, uwodziciela i człowieka bez skrupułów. Szczególnie wiadomość, że Towiański miał nieślubne dziecko, wywołała zrozumiałą sensację, zwłaszcza w szeregach zaprzysięgłych zwolenników i apologetów człowieka, który twierdził, że otrzymał od Boga misję zbawienia Polski i całego świata.

Jakież więc było moje a zarazem i prof. Pigonia zdumienie, gdy z owej pocztówki napisanej w języku niemieckim i datowanej z Berlina, dowiedzieliśmy się, że pisze niejaki **Roman von Goszczyński,** podający się za **wnuka** Seweryna Goszczyńskiego! Ów, nieznany nikomu Niemiec z Berlina, zwracając się ogólnikowo do profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, pisał, że, niestety, nie zna dobrze języka polskiego, pomimo to jednak interesuje się bardzo dziełami swego „Grossvaters", Seweryna Goszczyńskiego. Jednocześnie zwracał się z prośbą o wskazanie mu dzieł Seweryna Goszczyńskiego w języku niemieckim, szczególnie dzieła „Moje podróże".

Sprawa wyglądała tajemniczo przede wszystkim dlatego, że Goszczyński nie był żonaty. Ponieważ zaś podpisany podawał się za wnuka, nasuwał się prosty wniosek, że Goszczyński miał może **nieślubne dziecko.** Ostatecznie nie było by to pierwsze nieślubne dziecko wśród polskich poetów romantycznych. Bo właśnie od samego Goszczyńskiego pochodzi wiadomość, zresztą zupełnie prawdziwa, że nieślubnego syna miał znany autor „Marii", Ant. Malczewski. Charakteryzując mianowicie Malczewskiego w przedmiocie do lipskiego wydania „Marii" w r. 1844, zamieścił tam Goszczyński następującą notatkę — „Nie możemy właściwiej zakończyć tego pisma, jak zapisaniem jeszcze jednego szczegółu, mało komu dotąd wiadomego. Malczewski zostawił syna z pobocznego łoża... Ten potomek Malczewskiego, nazwiskiem Jakubowski, mając udział w ostatnich walkach narodu, podzielił także losy jego części powołanej do cierpienia poza krajem i zamieszkał w Ameryce. Jakkolwiek bardzo jeszcze młody zapowiadał w sobie niepowszednie zdolności poetyckie".

Goszczyńskiemu też zawdzięczamy inną jeszcze, niemniej ciekawą wiadomość o **nieślubnym dziecku Mickiewicza.** W swoich rękopiśmiennych pamiętnikach zanotował on dn. 21 lipca 1858 r. następującą wiadomość: „Wczoraj słyszałem od Łąckiego, że Xawera (Deybel a dziś Menardowa) pisała do Wł. Mickiewicza w tej treści: „Mąż mój jest bez miejsca, jesteśmy w niedostatku, żądam od Ciebie 2000 fr. na wychowanie dziecka twego ojca". Miała ona to dziecię w r. 1847 — rozpuszczono, że ojcem jego był Mickiewicz. **To pewne, że jakiś czas chowało się w domu Mickiewicza.** Bądź co bądź bezczelność tej, niegdyś naszej siostry, jest rzadka. Nie darmo czułem do niej stały wstręt w najlepszych jej chwilach, kiedy dla niektórych uchodziła za świętą".

Uderzyło mnie tylko to, że ten krąg wiadomości o nieślubnych dzieciach dwóch poetów romantycznych pochodził właśnie od Goszczyńskiego, człowieka zresztą o kryształowym charakterze, a tymczasem kartka, która przyszła z Berlina, wskazywała, że i Goszczyński... **miał nieślubnego syna!** Zastanawiało mnie wprawdzie od razu, dlaczego ten „nieślubny" potomek nazywa się też Goszczyński. Przejrzałem więc szybko wszystkie listy i pamiętniki Goszczyńskiego z okresu jego pobytu w Niemczech (r. 1839), jednakże, poza pewną, dość sensacyjną, a dotyczącą Goszczyńskiego sprawą, o której nie czas jeszcze pisać, nie znalazłem niczego, co by miało jakiś bezpośredni związek z tym zagadnieniem. A przecież pamiętniki tego poety rejestrują jego życie niezwykle wiernie i szczerze. Trudno zaś uwierzyć, ażeby Goszczyński, notujący najmniejsze swoje grzechy (wystarczy przypomnieć chociażby jego charakterystyczny kajecik, znajdujący się w niewydanych dotychczas pamiętnikach, zatytułowany **„Winy")** nie poczuwał się do pewnych wspomnień, obowiązków czy czegoś w tym rodzaju.

Zagadkowa sprawa wyjaśniła się nieco, gdy na kartkę Romana Goszczyńskiego odpowiedział także prof. Pigoń, przesyłając mu jednocześnie część ogłoszonych przez siebie pamiętników autora „Zamku Kaniowskiego" pt. „Chronologia mojego życia". Wówczas to tajemniczy adresat berliński nadesłał list, w którym sprostował swoje poprzednie twierdzenie. „Seweryn Goszczyński ist nicht mein Grossvater, sondern Grossonkel. Ich bin der einzige Grossneffe des Dichters... Meine Mutter ist die einzige lebende Nichte des Dichters".

A więc przypuszczenie o „nieślubności" na razie odpadło. Sprawa ta jednak tak mnie zainteresowała, że spodziewając się uzyskać od owego Romana Goszczyńskiego jakieś bliższe szczegóły o Sewerynie Goszczyńskim napisałem do niego, na skutek czego nawiązała się pomiędzy nami długoletnia korespondencja. Dzięki tej korespondencji uzyskałem garść szczegółów, interesujących chociażby dlatego, że ilustrują one **ów tragiczny proces stopniowego gubienia się polszczyzny w morzu obcej krwi, na skutek wiekowej przeszło niewoli narodu polskiego oraz owe przejmujące drogi polskiej wędrówki emigracyjnej, która zaprowadziła ród Goszczyńskich od dalekich Iliniec, na Ukrainie, do Berlina.**

Kim więc był ów tajemniczy Roman von Goszczyński?

„Ojciec mojej matki był bratem Seweryna Goszczyńskiego, dlatego mówiłem początkowo o moim dziadku — zwierzał mi się w jednym z listów — zatem dla-

(Dokończenie na stronie 2)

Doniosłe zarządzenie

Wspominaliśmy już w „Odrze" o doniosłym okólniku Ministerstwa Ziem Odzyskanych, wysłanym wszystkim wojewodom na obszarze Ziem Odzyskanych. Poniżej zamieszczamy bez dłuższych komentarzy fragmenty okólnika (nr 39/47), mówiącego o niewłaściwym ustosunkowaniu się do spraw obywatelstwa ludności stale osiadłej na Z. O. Okólnik używa ujęcia „ludność stale osiadła" zamiast dotąd używanego wyrażenia „autochton". Lektura okólnika to dla tych wszystkich, którym leży na sercu dobro Ziem Odzyskanych, lektura niezwykle pasjonująca. W sposób ostry i odważny piętnuje się zbrodnię, w sposób zdecydowany pragnie się dalszej zbrodni raz na zawsze zapobiec.

Bez przerwy nadchodzące z obszaru Ziem Odzyskanych zażalenia wskazują, iż pomimo wejścia w życie ustawy z dnia 28 kwietnia 1946 r. o obywatelstwie Państwa Polskiego osób stale zamieszkałych na obszarze Ziem Odzyskanych oraz pomimo licznych wypowiedzi najwyższych czynników państwowych i społecznych — wciąż jeszcze podległe mi władze administracji terytorialnej nie rozumieją należycie znaczenia i skutków tego doniosłego dla Państwa Polskiego aktu ustawodawczego.

I tak bardzo często wprowadza się praktyczne rozróżnienie pomiędzy ludnością osiadłą na Ziemiach Odzyskanych, dzieląc ją na tzw. „autochtonów" lub „zweryfikowanych" i osadników, przy czym, o ile w stosunku do tych ostatnich nikt nie podnosi żadnych obiekcji co do ich obywatelstwa, o tyle obywatelstwo polskiej ludności od wieków tam osiadłej jest przy każdej prawie sposobności poddawane w wątpliwość.

Obrzucanie tej ludności zarzutami hańbiącymi dobre imię Polaka, bez poczucia odpowiedzialności, lekkomyślne utożsamianie tej ludności zwłaszcza wyznania ewangelickiego z Niemcami — stało się już prawie nagminnym zjawiskiem, przy czym pożałowania godnym faktem jest, iż atmosfera ta tworzona jest głównie przez osobników, pragnących zagrabić mienie tej ludności, oraz świadomych i nieświadomych pomocników tych osobników.

Winę tego niezdrowego i nie znajdującego już dziś żadnego usprawiedliwienia stanu rzeczy ponoszą przede wszystkim władze administracji ogólnej, które są zań odpowiedzialne z tytułu powierzonej im opieki nad osiadłą polską ludnością oraz z tytułu obowiązków w zakresie praktycznego wprowadzenia w życie wymienionej na wstępie ustawy.

Takie przypadki, jak odbierania tymczasowych zaświadczeń o polskiej przynależności narodowej, stanowiących praktyczny dowód obywatelstwa polskiego, dołączanie do transportów repatriacyjnych Niemców osób, legitymujących się wspomnianymi dowodami, a wreszcie spotykane nierzadko wypadki odmowy wydania formalnego poświadczenia obywatelstwa pod różnymi wykrętnymi pozorami — te wszystkie przypadki bądź ujawniają lekceważącą nieznajomość obowiązujących ustaw, wytycznych polityki Rządu, zarządzeń i instrukcji Ministerstwa Ziem Odzyskanych oraz zdrowego sensu społecznego, złą wolę różnych reakcyjnych czynników, którym w pierwszym okresie organizacji administracji udało się do niej wcisnąć.

Władze administracji ogólnej, co Ministerstwo Ziem Odzyskanych stwierdziło, nie uprzytamniają sobie zupełnie, iż tak, jak nie można obywatelowi polskiemu spod Kielc czy Lublina odebrać dowodu osobistego i dołączyć go do transportu repatriacyjnego do Niemiec, tak samo nie można w podobny sposób postąpić wobec obywatela polskiego, stale zamieszkałego w Olsztynie, czy też w Głubczycach. Obywatelstwo jest tak wielkim dla człowieka prawem, że na to, by je odebrać, trzeba równie wielkich podstaw a przede wszystkim bardzo skrupulatnego postępowania prawno - administracyjnego, lub sądowego.

Praktyka władz, lekceważąca sobie znaczenie aktu nadania obywatelstwa przez fakt stwierdzenia polskiej przynależności narodowej, doprowadziła w rezultacie do zachwiania poczucia pewności wśród ludności stale osiadłej.

W dalszym ciągu okólnik wydaje praktyczne zarządzenia dla wojewodów prosząc m. in. „o stosowanie przykładnych i odpowiednio surowych represji służbobowych wobec funkcjonariuszy, winnych niewłaściwego stosunku do spraw tej ludności, nawet jeśli z tego powodu nie nastąpiła bezpośrednia szkoda; o natychmiastowe reagowanie przeciwko wybrykom opinii publicznej w sposób celowy, a niemniej kategoryczny; o polecenie kierowania z reguły na drogę dochodzenia prokuratorskiego wszystkich przypadków działania na szkodę ludności stale osiadłej lub jej niepokojenia dlatego tylko, że była poprzednio obywatelami b. Rzeszy Niemieckiej; o polecenie nie przyjmowania w postępowaniu o obywatelstwo jako wiarogodnych zeznań osób, zainteresowanych majątkowo w niekorzystnym rozstrzygnięciu sprawy obywatelstwa osoby, ubiegającej się o nie". Okólnik podpisany został przez podsekretarza stanu Józefa Dubiela, syna ziemi śląskiej.

Zarządzenie jest doniosłe, sprawa jest ważna. Nieraz dawaliśmy na łamach naszego pisma wyraz naszej trosce o ludność rodzimą, nieraz zwracaliśmy uwagę na niewłaściwy do niej stosunek rozmaitych powojennych herosów rzeczywistości, tkwiących w niej zresztą powierzchownie i tylko po granicę ich zainteresowań materialnych. Zarządzenie samo jeszcze stosunku nie odmieni, kary choć ostre i przykładne, nie mogą także stanowić jedynego środka wychowawczego. Potrzebne jest ustawiczne uświadamianie Polaków przybyłych na Ziemie Odzyskane o dziejach i stanie polskości na tych ziemiach, o żywym ludzie polskim tu osiadłym i przetrwałym. Tam zaś gdzie odwoływanie się do świadomości patriotycznej i obywatelskiej nie pomoże, pomóc musi kara, kara dotkliwa, tak jak zwykło się karać wszelką działalność antypaństwową i antynarodową. A jest nią niewątpliwie stosunek wielu przedstawicieli administracji państwowej i współrodaków do tych ludzi rodzimych. Walka ze wstecznictwem obywatelskim trwa!



Gorącym latem na Ziemiach Odzyskanych, w piachu, słońcu i wodzie. — Na zdjęciu plaża w Łuczanach

Fot. J. Bułhak

HENRYK FROS

Droga do Wambierzyc

Ciągle jeszcze nie jest rzeczą zbędną przypominanie tego, co sformułował doskonale Wł. J. Grabski na III. Sesji Rady Naukowej dla Zagadnienia Ziem Odzyskanych: „Dla Ziem Odzyskanych, dla zagadnienia zespolenia ich z macierzą, sprawy religijne są tak kapitalnego znaczenia, są tak konkretne, powszechne i teraźniejsze, że nie-



Bazylika w Wambierzycach

uwzględnienie ich w całokształcie rozważań i planowań było by niewybaczalnym błędem, marnotrawstwem, karygodnym zaniedbaniem interesów Polski" (Tygodnik Warszawski, r. 1946 nr. 29). Już zaś wśród spraw religijnych, tak ważnych dla utrwalenia polskości Ziem Odzyskanych, nie ostatnie miejsce zajmują te ośrodki, które, po największej części polską wzniesione dłonią, od lat wielu przez Polaków otaczane były szczególnym pietyzmem. Święta Lipka, Góra św. Anny, Trzebnica, Warta i Wambierzyce rozpoczynają długi szereg tych właśnie miejsc, z którymi Polak — zżył się od dawna. Świątynie, cieszące się szczególnym kultem, przyozdobił polskimi pamiątki. Pielgrzymie wędrówki do nich umaił polską pieśnią i swojskim oplótł zwyczajem. W modlitwie, zanoszonej gorąco zwłaszcza przed tron Najśw. Panny, znajdywał źródło sił i pociechy.

W długim, oko polskie radującym szeregu tych miejsc cudownych nie na szarym końcu znajdują się Wambierzyce, maleńka wioska w powiecie kłodzkim. Cokolwiek byśmy tam chcieli podziwiać, w pierwszej chwili wzrok nasz przylgnie do imponującej fasady świątyni, obdarzonej przez Piusa XI zaszczytnym mianem bazyliki mniejszej — „basilica minor". Zwłaszcza od strony południowo-wschodniej widok ten nabiera szczególnego uroku. Potoki światła słonecznego, jakby upodobały sobie wspaniałą fasadę, zlewają się na nią nader obficie, nadając przez to oglądanemu obrazowi, stosownie do pory dnia, różnorodnych odcieni. Kiedy się zbliżymy do stóp świątyni, widok ten traci nieco na uroku, ale ciągle jeszcze fasada kościoła sprawia wrażenie imponujące. Wrażenie to wbija się w pamięć zwłaszcza w wieczory, które poprzedzają większe uroczystości, bo fronton bazyliki oświetlony jest wówczas 1300 lampami.

Piękna w swej oryginalności fasada świątyni kryje za swym murem niemniej piękne i oryginalne wnętrze. Samo wejście do świątyni, niespotykane gdzie indziej, budzi w nas nowe zaciekawienie. Nie prowadzi ono bezpośrednio do nawy. By wejść do niej, trzeba kościół obejść długim krużgankiem, a to nie przychodzi nam łatwo, bo po drodze spotykamy długi różaniec kaplic. Z przeciwnej strony, niżeśmy się tego spodziewali, wchodzimy wreszcie do nawy, z niej zaś przed główny ołtarz. Ale znowu przed wejściem do prezbiterium wzrok nasz wędruje jeszcze ku pięknej barokowej ambonie i ozdobom bocznych ołtarzy. Ołtarz główny natomiast jest jeszcze ciągle niewidoczny. Ukrył się on za kutą bramą, w prezbiterium, któremu architekt nadał odrębne kształty, tworząc zeń oddzielną kaplicę. Przypomina ona miejsce „święte świętych" świątyni jerozolimskiej. Bo też tutaj mieści się tabernakulum i wambierzycka świętość: niewielka, poczerniała od starości statua Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Pochodzenie tej statuy sięga XIII albo nawet XII w. A oprócz niej ileż tu pamiątek, wot, dzieł sztuki. Jakie bogactwo symboliki, ile środków do wywołania zbożnych myśli i wzbudzenia uczuć religijnych!

Wszakże nie wszystkie pamiątki mieszczą się w głównej świątyni. Sama Kalwaria, ocieniona laskiem przeciwległego wzgórza, obejmuje bezmała 90 kaplic, we wszystkich zaś znajdują się figury naturalnej wielkości, przedstawiające różne sceny z życia Chrystusa Pana. Dużo by można mówić o bogactwie Wambierzyc, o religijnej i artystycznej wartości zabytków, które je tworzą, jest ich tu jednak tak dużo, że nie sposób omówić wszystkie w jednym króciutkim szkicu. Potrzeby pielgrzymów i ciekawość zwiedzających zaspokoi zresztą broszura, która ukaże się niebawem nakładem Zarządu Kościoła.



Łużyczanki modlą się u stóp wambierzyckiego kościoła

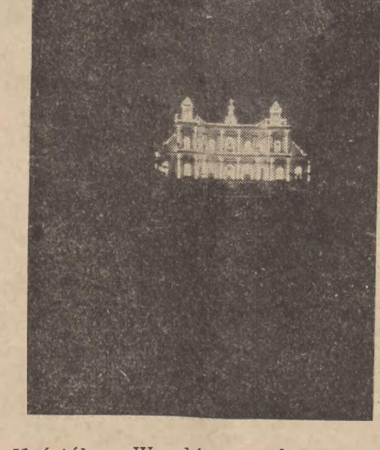
Tu też znajdziemy krótką historię Wambierzyc. Wydobądźmy z niej tymczasem kilka fragmentów. Inicjatorem kultu Matki Boskiej Wambierzyckiej był, według podania, spisanego w w. XV., szlachcic z pobliskiego Raszewa. Jemu to — głosi dalej podanie — ukazała się Bogarodzica Maria, piastująca na ręku Jezusa, który znowu trzymał w drobnej dłoni gołąbka-symbol pokoju. Tę właśnie wizję, kazał ów szlachcic uwiecznić w drzewie, a rzeźbioną statuę umieścił na prastarej lipie, u której został obdarzony widzeniem.

Gorliwymi czcicielami Marii byli również następcy pobożnego szlachcica na zamku raszewskim. Szczególne zasługi około rozszerzenia tego kultu w ośrodku wambierczyckim położyła rodzina Panwiców, właścicieli Raszewa w w. XV/XVI; o jednym z jej członków kronika notuje, iż bił się z Krzyżakami w grunwaldzkiej potrzebie. Panwicowie stawiali też drugi kościół na tym miejscu w r. 1512. Wszystkich jednak wambierzyckich fundatorów i dobroczyńców przewyższył rozmachem i zasługami Daniel Paschasius, Włoch z pochodzenia, którego Niemcy nazwali Osterbergiem (Pascha-Ostern). Jemu to zawdzięcza swe istnienie kalwaria i trzecia świątynia, która dla obecnego wyglądu Wambierzyc miała ogromne znaczenie, jakkolwiek rozebrano ją po 5 latach, bo z winy architekta groziła zawaleniem. W latach 1716—1723 wybudowano przeto podobną do tamtej nową świątynię, która w sposób oryginalny godzi późny renesans z barokiem.

Już te luźne notatki z przeszłości Wambierzyc przekonywują dostatecznie o tym, iż miejsce to otaczane było od dawien dawna szczególnym pietyzmem ludu. Dodajmy, że zciągało zawsze liczne pielgrzymki nawet z dalekich okolic. Był czas, kiedy przychodzili tu Słowacy, Węgrzy nawet; jeszcze nie tak dawno zachodzili w swych strojach Bracia — Łużyczanie. Najliczniej jednak gromadzili się zawsze Czesi, zwłaszcza z okolic bliskiego Nachodu i Brunowa oraz Polacy ze Śląska. Co roku od niepamiętnych czasów przybywali tu liczni pątnicy z Opolskiego. Dla nich to wydano we Wrocławiu w r. 1906 drukiem Grossera i Ski przewodnik po kaplicach wambierzyckich. W następnych latach „Nowiny" w Opolu i firma Antoniego we Wrocławiu wydała dla nich pieśń, śpiewane przy obchodach stacyj. Wreszcie w r. 1938 ks. Józef Tokarz wydał ukradkiem w Kłodzku „Pieśni pątnicze podczas obchodu stacji w krużganku bazyliki i kalwarii w Albendorfie".

Okiem niechętnym patrzono tu na tych pielgrzymów, co to z polską pieśnią na ustach szli oddać hołd swej Matce, przecie nie zdołano w swoistej skrzętności zatrzeć śladów ich kultu i nie tak dawno znaleziono na strychu kościelnym kilka obrazów z napisami polskimi.

Zaś oni sami — opowiadała nam o tym zakonnica z wambierzyckiego szpitala — szerzyli tu przekonanie, że nie tylko ich ojcowizna — Opolskie, ale również Kłodzkie z piękną „Śląską Jerozolimą" przypadnie wreszcie w udziale temu narodowi, który jest znany ze swej czci dla Bogurodzicy. Opolanie wreszcie doczekali się spodziewanych czasów i dziś na nowo wędrują do Wambierzyc. Kronika kościoła zanotowała w tym roku pierwsze po wojnie pielgrzymki z Wielkiego Dobrzynia, Siółkowic, Polskiej Nowejwsi, Komprachcic, Ochodzy i innych. Prowadzili je tacy przewodnicy, którzy od 20-tu z górą lat (był i taki, który już od 46 lat wędruje co roku do „Wombrzyc") chodzili tu z dorocznym pokłonem. Wambierzyczanie do-



Kościół w Wambierzycach w nocy

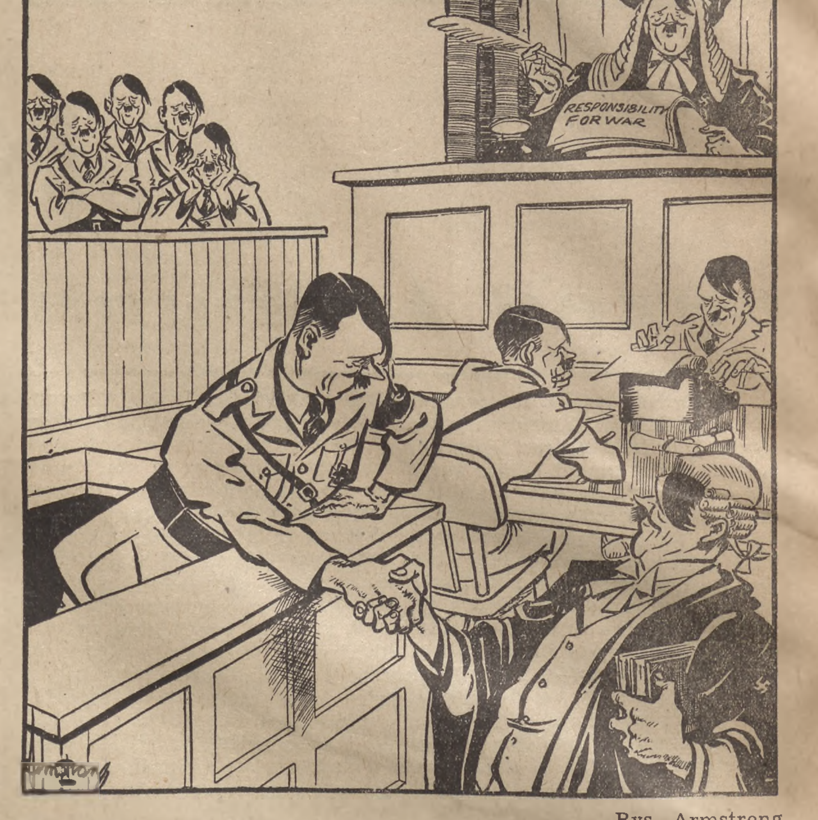
dawali, iż widok tych pielgrzymów, biorących udział w tradycyjnej procesji ze świecami i śpiewających jakieś prastare pieśni, na długo pozostanie w ich pamięci.

Ułatwienia w tzw. małym ruchu granicznym zachęciły również Czechów do wznowienia wambierzyckich pielgrzymek. W lipcu br. Wambierzyce mają oglądać pierwszą po wojnie pielgrzymkę z czeskiego Nachodu, liczącą do 1500 uczestników. Dla nich to wydano już w Nachodzie wznowienie: „Vemberzicky Zpievniczek pountniku nachodskych... 1947. Nakladem Katolicke akce v Nachodu", str. 168. Śpiewniczek poprzedzony jest krótkim wstępem i szkicem historii Wambierzyc (aczkolwiek krótki, nie omieszkano w nim podkreślić, bodaj z pewną przesadą, momentów czeskich w historii Wambierzyc; nie mamy o to żalu. Dziwnym wydaje się nam natomiast fakt, iż tego „dopełnionego" wydania nie dodano wzmianki o kościelnej i państwowej przynależności dzisiejszych Wambierzyc).

Należy żywić nadzieję, że pielgrzymi ruch, wznowiony przez dawnych bywalców Wambierzyc, ogarnie zwolna te warstwy ludności, które niedawno przybyły na tę piastowską ziemię. Tak zaś autochtoni jak i repatrianci zjednoczą się nowym węzłem, swoiskimi zwyczajami, który ich jeszcze bardziej przykuje do tej polskiej ziemicy. Zbliżą się również i lepiej poznają sąsiedzi z obu stron pobliskiej granicy. Niech i poto będą Wambierzyce, by jednoczyć.

Henryk Fros.

Denazyfikacja
w Niemczech
dzisiejszych



Rys. Armstrong.

Dramat Romana Wołowskiego

(Dokończenie ze strony 1-ej)

dek mój był bratem poety". Czyli **Roman Wołowski**, bo takie było jego właściwe nazwisko, **był wnukiem, ale brata Goszczyńskiego.** Matka Wołowskiego, zmarła przed wojną w Berlinie, była więc siostrzenicą Seweryna, córką jednego z licznych jego braci, Juliana Goszczyńskiego, właściciela dóbr w Klonówce koło Starogardu, w Prusach Wschodnich. W r. 1872/73 spotkała się po raz pierwszy z Sewerynem Goszczyńskim, kiedy ów, cudem wprost uratowany od śmierci głodowej z oblężonego Paryża, wracał z Francji do Polski i po drodze wstąpił do swego brata w Klonówce.

W jaki sposób Maria Wołowska znalazła się w Niemczech, tego nie dowiedziałem się. W każdym razie mimo niewątpliwie dużego jest zniemczenia, wychowywała swego syna w tradycji polskiego pochodzenia i ostatnim jej życzeniem było, aby jej syn wrócił do Polski. I oto ten „Grossneffe" polskiego poety, wychowany z dala od polskości, pozostawiony samemu sobie w centrum niemieckiej kultury, zaczął powoli powracać do polskości poprzez... **sztukę.** Sam bowiem będąc z zawodu aktorem dramatycznym i filmowym nie mógł nie interesować się życiem swego wuja — poety, zwłaszcza, że życie tego polskiego wuja, pełne poświęceń dla ojczyzny, niedoli i tułactwa musiało go wzruszyć już choćby dlatego, że jego właśnie — dalekie było od spokoju i ciszy.

Od najwcześniejszych bowiem lat obudziła się w nim miłość do teatru, a wraz z tym zaczęło się życie pełne wrażeń, blasków i cieni. Jako młody chłopiec grał już w operetce L. Falla „Der fidele Bauer". Szybko też dostał się do filmu, rzuciwszy uprzednio szkołę kupiecką, a tym samym i systematyczną naukę. „Ein verliebter Bäcker", gdzie grał główną rolę, przyniósł mu duże uznanie. Grywał także w „Berliner Lessing Theater", w teatrze „Unter den Linden", u Reinhardta, oraz w różnych filmach, z których jeden, mianowicie, „Geschminkte Jugend" grany był także w Polsce.

Tak zwane zbliżenie polsko-niemieckie w r. 1933 wywołuje w jego życiu pewnego rodzaju przełom. Postanawia poświęcić się pracy nad propagandą polskiej kultury w Niemczech, czując się do tego predystynowanym z racji swego pochodzenia. Próbuje tłumaczyć niektóre z nowel Goszczyńskiego oraz przedkłada sztukę Szaniawskiego „Adwokat i róże" znanemu berlińskiemu wydawcy, za co mu Szaniawski składa specjalne podziękowanie. Pragnie wystawić w Berlinie jedną ze sztuk Wyspiańskiego, którym zachwyca się najwięcej. Porywa go myśl, aby dokonać przeróbki któregoś z dzieł Goszczyńskiego na scenę. Budzi się w nim coraz większe pragnienie poznania kraju swoich przodków. Krótki przelotny pobyt w Krakowie wzrusza go do łez, odtąd żyje jakby w gorączce — zapala się, planuje, to znów waha się. Znalazłszy się bowiem na pograniczu dwu obcych sobie kultur, a przede wszystkim dwu, z dnia na dzień coraz bardziej wrogich sobie politycznie światopoglądów, czuje się rozdwojony, otoczony nagle tysiącem wątpliwości, których istnienia zapewne nawet nie podejrzewał. Wszystko to znajduje wierne odbicie w listach pisanych do mnie, listach nerwowych, coraz smutniejszych. W tej rozterce nie doznaje znikąd żadnej pomocy, przeciwnie narastający dramat wojenny stwarza wszystko, co może go złamać i odepchnąć od znalezionych dróg polskości. Cóż mogłem bowiem pomóc czy doradzić temu człowiekowi, zamkniętemu w apokaliptycznych szumach niemieckiego szowinizmu, w oparach buty germańskiej — ja młody wówczas profesor, zwolniony właśnie świeżo z gimnazjum sosnowieckiego za wygłoszenie odczytu o pierwszych polskich gromadach socjalistycznych w sosnowieckiej „Lidze Obrony Praw Człowieka". Może nawet dobrze się stało, że nie zetknęliśmy się wówczas, jak i potem, osobiście. Czy znaleźli byśmy, pomijając wszystkie inne rzeczy, wspólny język? Pozostawała korespondencja, która w miarę zbliżającej się zawieruchy wojennej milkła z roku na rok. Nasze planowane spotkanie osobiste nie doszło do skutku.

A potem przyszła wojna. I znowu może dobrze się stało, że nie zetknęliśmy się wówczas. Cóż bowiem miał bym mu do powiedzenia w chwili, gdy rezultat zbliżenia polsko-niemieckiego stał się krwawą parodią? Czy byłbym w stanie, na najszlachetniejszy nawet apel z jego strony, odpowiedzieć czymś innym jak tylko zaciętą nienawiścią syna ujarzmionego okrutnie narodu? Przyznaję jednak, że byłem ciekaw, czy Roman Wołowski odezwie się. Naturalnie nie było mowy nawet, ażebym wówczas pierwszy do niego napisał. Roman Wołowski nie odezwał się ani razu w ciągu długich lat wojennych. O tej niecodziennej listownej znajomości sprzed wojny zapomniałem zresztą szybko w ciągu ciężkich lat okupacyjnych, tym bardziej zaś po wojnie.

Jakież więc było moje zdumienie, gdy w lecie zeszłego roku otrzymałem nagle pocztówkę z Berlina do Romana Wołowskiego! Długo zastanawiałem się nad odpowiedzią. Odmienił się wprawdzie los, przycichła nieco wrogość, ale za dużo narosło w międzyczasie spraw, oddzielających nas obcością, uniemożliwiających porozumienie nawet na platformie sztuki. Nawet zanikła, tak dawniej żywa chęć uzyskania jakichś dalszych informacji biograficznych o Sewerynie Goszczyńskim. Po pewnym czasie odpowiedziałem jednak nie wychodząc poza kurtuazyjną zdawkowość. Otrzymałem serdeczny list, w którym zostawiając sprawy osobiste do ustnego omówienia, Roman Wołowski prosił mnie o podanie adresów Szaniawskiego i Iwaszkiewicza, których sztuki chciał przetłumaczyć na język niemiecki. Donosił również, że planuje nagranie polskiego filmu w Berlinie oraz prosił o umożliwienie mu przyjazdu do Polski. Z listu przebijało to samo, co niegdyś, przed piętnastu prawie laty, zdenerwowanie i gorączka jakichś przedsięwzięć. Nad tym listem długo myślałem. Otwierał się przede mną ten sam, co dawniej dramat człowieka, stojącego na rozdrożu dwu kultur z tym jednak, że dramat ten pogłębił się o krwawe doświadczenia wojenne. Że padł na niego odblask krwi wymordowanych milionów, odblask pożóg spalonych miast i wsi, że cienie nieufności, zadrażnień, bolesnej zadumy przykryły nawet to, co mogło by strzelić jaśniejszym promieniem porozumienia na wąskiej ścieżynce sztuki. Nie odpowiedziałem do dziś Romanowi Wołowskiemu i nie wiem do dziś, jak mu odpowiedzieć. Kiedy przeczytałem jednak książkę Osmańczyka „Sprawy Polaków" stało się dla mnie jasne, że odpowiedzieć muszę. Pomijając już bowiem sprawę osobistego ustosunkowania się do tego człowieka dwu kultur, tego, jakby można żartobliwie powiedzieć, pierwszego „Volks-Polaka" powojennego, wyłania się tu zagadnienie o charakterze ogólniejszym. Obserwujemy bowiem od dłuższego już czasu **wzrastającą propagandę sztuki rosyjskiej, francuskiej i angielskiej, a nawet czeskiej na terenie Niemiec.** Czy mamy pozostać bierni w tym procesie? Czy wystarczy odgrodzić się murem nienawiści i ograniczyć się do pokazywania Niemcom dokumentów ich zbrodni samymi tylko wystawami i środkami technicznymi? Wydaje mi się, że była by to bardzo krótkowzroczna polityka. Wydaje mi się też, że w stronę Niemiec i Niemców popłynąć musi także **nurt polskiej sztuki i nauki**, która by ich przekonała, że za kordonem nowej rzeczywistości wyrastała od dawna i rośnie nadal wielka niezgnębiona kultura narodu.

Jaką drobną rolę w tym wielkim procesie nowej rzeczywistości mógł by odegrać i czy w ogóle może odegrać bliski krewny jednego z najszlachetniejszych polskich poetów, człowiek gubiący się na pograniczu prawdy i fałszu, marzeń i rzeczywistości — nie wiem. Aby jednak nie pozostawić bez odpowiedzi tego dręczącego pytania, wyrosłego na gruncie tak dziwnych okoliczności życia, piszę ten artykuł w złudnym może przekonaniu, że będzie on częściową odpowiedzią na wyciągniętą do nas dłoń Romana Wołowskiego, wyczekującego odpowiedzi gdzieś tam w Berlinie, na ul. Wilmersdorf — Steinrückweg 5, II (strefa brytyjska).

Wydaje mi się zresztą, że ktoś już za mnie odpowiedział nie tyle Wołowskiemu, co **Wołowskim.** Tak, to Osmańczyk, mający tak wyostrzony słuch i wzrok na sprawy niemieckie. Odpowiedział zaś w ten sposób.

— „Musimy zmusić Niemców do pokojowej współpracy z nami. Nie wojny celne, nie bojkoty, nie wiece antyniemieckie, a współpraca gospodarcza i **kulturalna, tak, nawet kulturalna!"**

Stanisław Telega

Na skutek licznych próśb Czytelników oddaliśmy do oprawy pewną ilość

kompletów

„Odry"

za lata

1945 i 1946

z dokładnym spisem rzeczy

KOMPLETY JUŻ SĄ DO NABYCIA

Zamówienia prosimy kierować do Administracji „Dziennika Zachodniego" i „Odry" w Katowicach, przy ul. 3 Maja 12

Materiały farbuj
tylko barwnikiem

„ORION"

bo jest gwarantowany i daje piękne kolory **Składnica Fabryczna**
Katowice Starowiejska 3 tel. 354 64

Przegląd prasy niemieckiej

Sie

Berlin (strefa amerykańska)

Był czas, gdy Berlin pod względem chorób wenerycznych należał do najczystszych miast kontynentu. Pod koniec republiki weimarskiej cały szereg lekarzy dla chorób zakaźnych i wenerycznych z powodu braku pacjentów musiał zaprzestać praktyki i przestawić się na inne rodzaje chorób. Berlin chce również i w tej dziedzinie zdobyć dawne swe imię. Na razie jednak daleko mu do tego. Zdziczenie, jakie nastąpiło w wyniku wojny nazistowskiej, doprowadziło do niespotykanego dotąd rozprzestrzenienia się chorób wenerycznych. Według najnowszych statystycznych obliczeń np. w okręgu Neukoelln wenerycznie chora jest co 10 dziewczyna. Alarm, który powodują te cyfry, podniósł się tym więcej po obliczeniach kwietniowych tego roku, które wykazały dalszy wzrost zakażeń. Z tego powodu utworzona na podstawie rozkazu Komendantury Alianckiej z dn. 9 lipca 1946 r. Centralna Rada dla zwalczania chorób wenerycznych w Krajowym Urzędzie Zdrowia, urządziła w pierwszej połowie czerwca dwa tygodnie uświadamiające o niebezpieczeństwach chorób wenerycznych w szeregu referatów, wystaw itp.

Doświadczenie skłoniło nas do kontynuowania tej propagandy, nie okazała się ona bowiem bezowocna. Tegoroczny marzec z 2.139 nowymi zakażeniami stoi nie tylko niżej zeszłorocznego marca (3.725 nowych zakażeń) ale stanowi równocześnie najniższy wierzchołek wykresu chorób wenerycznych od połowy 1945. Pomoce lekarskie są teraz zapewnione w dostatecznej ilości. W berlińskich szpitalach dla wenerycznie chorych jest do dyspozycji 2600 łóżek, z których 700 w chwili obecnej jest niezajętych. Zwalczenie wybuchłej choroby jest dzisiaj problemem rozwiązanym. Nie dała się jednak jeszcze zupełnie rozwiązać sprawa dalszego zakażenia. Choroba jest rzeczą lekarza, zakażenie zaś rzeczą chorego.

Zupełnie niesłusznie posądza się o wszystko przedstawicielki miłości sprzedażnej, jeśli jest mowa o rozprzestrzenianiu się chorób wenerycznych. Kobiety te są bowiem w ogólności zbyt ostrożne i zbyt doświadczone, **aby stać się ofiarą** swoich zawodowych zwyczajów, a pozatem do ich moralności handlowej — jeśli wolno nam metaforycznie użyć tego słowa w tym znaczeniu — należy ochrona klienta przed zakażeniem. Odpowiedni rzeczoznawca w Krajowym Urzędzie Zdrowia może łatwo udowodnić, że w Berlinie obecnie „salony", kontrolowane przez urząd, wykazują najniższe cyfry zakażeń. Także i dzisiaj są prostytutki ważnymi pomocnicami urzędów zdrowia, sprzymierzeńcami w walce z chorobami wenerycznymi przez meldowanie chorych lub skłanianie ich do osobistego zameldowania swej choroby.

Jeżeli jednak do jakiejkolwiek grupy ludności ma pójść nasza propaganda, to przede wszystkim do tych licznych małych dziewcząt z kapryśną moralnością, które w barach i nocnych lokalach czekają na okazję względnie nawet nie czekają lecz zupełnie agresywnie odnoszą się do mężczyzn, zwłaszcza jeśli czują, że mają oni w kieszeniach papierosy lub kawałek czekolady. Owe niekontrolowane, zmieniające ciągle partnerów, nieletnie często służebnice miłości sprawiają nam najwięcej troski przy zwalczaniu chorób wenerycznych.

Obecna akcja propagandowa pójdzie również do szkół i fabryk, gdzie młodzieży przedstawi się okropności chorób wenerycznych, pokaże się filmy, książki, plakaty... Czy akcja ta spowoduje spadek zakażeń, pokaże nam to statystyka nowych zakażeń w nadchodzące lato i w miesiącach jesiennych.

(Z artykułu „Wykres rośnie")

STUTTGARTER ZEITUNG

Stuttgart (str. amer.)

14 procent wszystkich wypadków chorób wenerycznych wypada obecnie w Monachium na dzieci i młodzież przed okresem dojrzewania. W drugim półroczu 1946 było w Monachium 2.000 wenerycznie chorych pośród niedojrzałej młodzieży, 204 wenerycznie chorych dzieci do lat 9 i 5.726 wenerycznie chorych dorosłych.

Wirtschafts Zeitung

Stuttgart (str. amer.)

Strefa wschodnia jest krajem wódki. Łatwiej można tam dostać flaszkę wódki niż w Nadrenii flaszkę wina. W handlu detalicznym sprzedaje się ją od 55 RM do 60 za litr, w restauracjach płaci się za mały kieliszek od 1,50 do 2,50 RM. 90 proc. ceny detalicznej przypada na podatki, w ten sposób fabrykant zwykłego spirytusu występuje równocześnie jako kasjer-urzędnik urzędu skarbowego. Ale i to nie interesuje pijącego, który wzrost cen uważa już za rzecz normalną; do dziesięciokrotnych lub piętnastokrotnych cen pokojowych przyzwyczailiśmy się już na czarnym rynku. Rozczarowani są właściwie tylko teoretycy pieniężni w urzędach, którzy spodziewali się, że wódka i jej ceny pochłoną część pieniędzy, których na rynku jest zbyt wiele. Urząd skarbowy zabiera część pieniędzy w postaci podatku, ale pieniądze te wydaje — nie znikają one zatem, lecz pokazują się w innym miejscu. Nie potrafiono także zapobiec temu, że wódka nasycać będzie czarny rynek. Już w tej chwili wódka strefy wschodniej staje się takim samym pojęciem wartościującym jak papierosy w strefie zachodniej. Cena jedynie podlega tu dużym wahaniom, od urzędowych 6 marek do 200 marek na czarnym rynku. W ten sposób cena wódki osiąga wysokość zarobku na sukni lub spodniach, transporcie samochodowym lub wytapetowaniu pokoju. Niedługo chyba już potrwa, a wytworzy się obok papierosowej także osobliwa taryfa wódczana, o ile w międzyczasie reforma monetarna nie obali jej.

Junge Welt

JUNGE WELT *Berlin (str. sow.)*

W Polsce panuje prawdziwy patriotyzm, szczególnie widoczny w Warszawie. Naród posiada wybitnych kierowników. Reżim feudalnych panów i właścicieli dóbr zniknął we właściwym czasie. Wielkie dobra zostały skonfiskowane i rozdane chłopom bez ziemi. Rozmawiałem z jednym z wybitniejszych byłych właścicieli ziemskich. Ów wychowanek jednej z najstarszych i najsłynniejszych europejskich rodzin obdarzony niezwykłą inteligencją i kulturą, prawdziwą wartość demokracji poznał dopiero w obozie koncentracyjnym. Tam przez 5 lat widział niszczenie jego towarzyszy w komorach gazowych. Dziś jest on wodzem stronnictwa demokratycznego i członkiem parlamentu. Popiera rząd choć także uległ wywłaszczeniu. Generał Anders i jego faszystowscy zwolennicy winni się dowiedzieć, że nie mają żadnych możliwości powrotu, nawet przy pełnym poparciu reakcji amerykańskiej i brytyjskiej. W Polsce można spokojnie podróżować i rozmawiać z każdym człowiekiem. Jedynie „żelazna kurtyna" ustawiona została przez mocarstwa zachodnie. Ma ona przeszkodzić obserwowaniu jako świadek niespodziewanie szybkiej odbudowy i demokratyzacji polskiego narodu.

(Z artykułu: „Za żelazną kurtyną")

EDMUND OSMAŃCZYK

W Szlezwiku walka trwa

Flensburg, w czerwcu.

W roku 1923 Duńczycy wraz z Fryzami, Polakami, Łużyczanami i Litwinami założyli Związek Mniejszości Narodowych w Niemczech, który do chwili wybuchu drugiej wojny światowej działał i występował zarówno na terenie wewnętrznym Niemiec, jak i na terenie międzynarodowym. Tradycje współpracy mniejszości narodowych w Niemczech sięgały czasów sprzed pierwszej wojny światowej, kiedy to w parlamencie pruskim niejednokrotnie wspólny front tworzyli posłowie Szlezwiku (H. P. Hansen) z posłami Śląska i Poznańskiego (W. Korfanty i W. Trąmpczyński).

Walka Duńczyków o Szlezwik toczy się od roku 1864, kiedy to Bismark zmusił Królestwo Duńskie do oddania Prusom swych południowych prowincji. Duńczycy szlezwiccy opierali się dzielnie germanizacji, a powodzenie swe w tej walce zawdzięczali spowszechnieniu się idei wielkiego duńskiego wychowawcy, Grund tviga, oraz idei spółdzielczej, obu idei wyprzedzających znacznie postęp społeczny w Niemczech. Szkoły i domy ludowe Grundtviga przyniosły powszechny wzrost oświaty, spółdzielczość zaś powszechny dobrobyt. Ludność duńska w pruskim Szlezwiku stała się w ciągu kilkudziesięciu lat najbardziej uświadomioną narodowo i społecznie częścią ludności Prus. Fakt ten zdecydował nie tylko o zwycięstwie duńskim nad germanizacją ale i o zwycięstwie w r. 1920 w plebiscycie, który przyznał Danii cały północny Szlezwik. Niemniej południowy Szlezwik pozostał nadal w Niemczech. Plebiscyt tam wypadł dla Duńczyków niekorzystnie. Dwie były tego przyczyny: — pierwsza, to walka wewnętrzna narodu duńskiego w ówczesnym okresie. W parlamencie kopenhaskim partie duńskie podzieliły się wówczas na dwa obozy. Jeden, który mówił, że cały Szlezwik winien wrócić do Danii, drugi zaś twierdził, że odebranie Niemcom całego Szlezwiku wywoła nienawiść Niemiec do Danii i w przyszłości spowodować może agresję Niemiec do Danii. Tego rodzaju głosy dochodzące z macierzy musiały rzecz prosta zaważyć na wyniku plebiscytu, tym więcej — i to była przyczyna druga — że Niemcy zastosowali w czasie plebiscytu ten sam terror, który pokazali na Śląsku i Mazurach.

Mimo to Duńczycy Szlezwiku południowego z walki nie zrezygnowali, i w dalszym ciągu do roku 1939 utrzymywali swoje szkoły, domy ludowe, organizacje oraz pisma, z których dziennik „Flensborg Avis", redagowany przez Christiansena i Bogensee'a, zajmował miejsce naczelne. Przez cały okres dwudziestolecia Duńczycy Szlezwiku podkreślali zdecydowanie swe związki z macierzą, toteż w chwili wybuchu wojny organizacje ich zostały zlikwidowane, przywódcy aresztowani a pół roku później Dania została okupowana przez Niemcy i zdawało się, że sprawa Szlezwiku raz na zawsze została pogrzebana.

W maju 1945 roku upadły jednak Niemcy i rozpoczęła się likwidacja Prus. Duńczycy Szlezwiku natychmiast rozpoczęli pracę organizacyjną, założyli z powrotem szkoły, odebrali zamienione w czasie wojny na schroniska HJ domy ludowe, „Flensborg Avis" począł znów się okazywać we Flensburgu, a polityczną reprezentacją ludności duńskiej stał się stary Związek Południowo-Szlezwicki, w skrócie SSV (Südschleswigsche Verein). W pierwszych wyborach gminnych SSV odniosło wspaniałe zwycięstwo, zdobywając większość głosów nie tylko na wsiach, ale i w trzech głównych miastach prowincji, gdzie też od roku burmistrzami są Duńczycy. Ten nagły wzrost wpływów duńskich w południowym Szlezwiku wywołał ostrą reakcję ze strony nacjonalistycznych kół niemieckich, tym większą, że w tym małym kraiku znalazło się około 200.000 wysiedleńców z Polski i Czech, a więc elementu najbardziej hitlerowskiego. SSV z kolei wysunęło żądanie usunięcia z Szlezwiku wszystkich wysiedleńców, ponieważ są oni nadmiernym ciężarem dla małej prowincji, a poza tym ich obecność zmienia strukturę narodowościową Szlezwiku. Postulat ten wywołał z kolei jednolity front wszystkich partii niemieckich przeciwko SSV. Propaganda niemiecka zaczęła używać pogardliwej nazwy „Speckdänen" na członków SSV, uznając ich za oportunistów, którzy wykorzystują zamożność Danii a nędzę obecnych Niemiec w grze politycznej. Najostrzejsza walka rozgorzała w kwietniu i maju br., kiedy odbywały się w Szlezwiku wybory do Landtagu. Niemieckie plakaty wyborcze skierowane były wszystkie przeciwko SSV, podkreślając jednocześnie, że komuniści, socjaldemokraci, liberali i chrześcijańscy demokraci niemieccy tworzą wspólny front przeciwko „imperializmowi duńskiemu".

Niemniej wybory zakończyły się zwycięstwem SSV, który zdobył 41,9 proc. głosów, stając się tym samym najsilniejszą partią w południowym Szlezwiku. W Radzie Miejskiej w Flensburgu SSV posiada 33 posłów na 39, a więc większość absolutną. W Glücksburgu 10 posłów na 15. Podobny stosunek jest w wielu gminach wiejskich.

W Danii walka SSV obserwowana jest ze szczególną uwagą, ponieważ w społeczeństwie duńskim do dziś dnia zachowała się obawa z roku 1920 zbytniego naprężania stosunków niemiecko-duńskich. Niemniej w miarę jak SSV zaczęła zdobywać wpływy, a wreszcie w wyborach wykazała swoją przewagę, w Danii coraz bardziej społeczeństwo zaczęło uświadamiać sobie możliwość odzyskania ziem, które przed 80 laty zabrał Danii Bismarck. W parlamencie duńskim olbrzymia większość posłów wypowiedziała się za powrotem południowego Szlezwiku do Danii. Sprawa południowego Szlezwiku stała się w ciągu kilku miesięcy naczelnym zagadnieniem polityki zagranicznej Danii. Premier Danii, Christensen, oświadczył, że Dania nie ma zamiaru przyszłe dobre stosunki z Niemcami okupić utratą swoich rodaków w południowym Szlezwiku. Ten nowy zupełnie ton w polityce duńskiej jest o tyle znamienny, że przed pół rokiem rząd duński wystosował notę do rządu angielskiego w której żądał jedynie oddzielenia administracyjnego południowego Szlezwiku od Holsztyna (dotychczas Szlezwik i Holsztyn stanowią jedną prowincję) oraz autonomii kulturalnej dla ludności duńskiej. W maju br. poseł duński w Londynie, hr. Reventlow, zapowiedziawszy pertraktacje brytyjsko-duńskie w sprawie Szlezwiku oświadczył, że wszystkie partie polityczne duńskie wobec rozwoju wypadków w południowym Szlezwiku, uznały za obowiązek rządu duńskiego obronę interesów duńskich w południowym Szlezwiku. Sprawa Szlezwiku wchodzi więc na arenę międzynarodową po raz drugi jako spóźnione echo Wilsonowskiej zasady samostanowienia narodów. Nie ulega wątpliwości, że plebiscyt przeprowadzony obecnie w Szlezwiku dałby olbrzymią większość zwolennikom powrotu ziemi tej do Danii. Oczywiście nowi przybysze wysiedleńcy z Polski i Czech nie mogliby mieć prawa głosu. Czy Wielka Brytania, pod której okupacją znajduje się obecnie Szlezwik, zgodzi się na tego rodzaju plebiscyt, pokażą najbliższe rozmowy duńsko - angielskie. Wydaje się jednak pewnym, że sprawa Szlezwiku będzie musiała być rozstrzygnięta przez Wielką Czwórkę na konferencji londyńskiej.

W interesie Polski leży osłabienie Niemiec. Toteż winniśmy poprzeć dążenia duńskie, tym więcej, że uzasadnione są one nie tylko historycznie, ale i etnograficznie. Solidarność Duńczyków Szlezwickich z Polakami Polski Zachodniej ma tradycje siedemdziesięcioletnie. Byłoby niesprawiedliwością dziejową, gdyby nasi wypróbowani towarzysze walki mieli mimo likwidacji Prus żyć nadal w popruskch Niemczech.

Edmund Osmańczyk.

Eugeniusz Wachtangow

Dwadzieścia pięć lat temu, w roku 1922 umarł jeden z najwybitniejszych reżyserów i inscenizatorów świata — Eugeniusz Wachtangow.

Pierwszym jego dziełem reżyserskim, które zwróciło nań oczy znawców i miłośników teatru było wystawienie znanej sztuki Gerharda Hauptmana: „Święto pokoju". Sztukę tę wystawił Wachtangow w Moskiewskim Studio Artystycznym przy tamtejszym teatrze. Od tego czasu, w ciągu dziewięciu lat twórczej pracy inscenizacyjnej opracowuje zaledwie siedem spektakli a jednak właśnie one unieśmiertelniają jego imię i stawiają w rzędzie najwybitniejszych wirtuozów sceny. Sławne w całym świecie stały się jego inscenizacje w Teatrze Moskiewskim, a już wydarzeniami kulturalnymi zostały trzy wystawione przez niego spektakle, a to: „Księżniczka Turandot", — Materlincka: „Cud św. Antoniego", oraz „Dybuk" — Anskiego.

Wachtangow był typowym przedstawicielem wiecznego niepokoju, pełnego pasji i męki twórczej. Artysta w każdym celu, świadom swego posłannictwa podszedł do pracy teatralnej po długim przygotowaniu pedagogicznym. W krótkim czasie swej teatralnej twórczości wyrósł na jedną z centralnych postaci teatru radzieckiego, na twórcę nowego kierunku teatralnego organizującego się i krzepnącego w rezultacie bujnego wzrostu radzieckiej kultury artystycznej. Wachtangow był śmiałym poszukiwaczem, pionierem nowych dróg, ambasadorem teatru przyszłości. Twórca Moskiewskiego Teatru Artystycznego — Stanisławski, uważał go za swego najwybitniejszego i najbliższego sobie twórczo — ucznia. Najistotniejszą cechą Wachtangowa było to, że z przedziwną subtelnością



potrafił wydobyć i wykryć charakterystyczne rysy nowoczesnego teatru, zsyntetyzować je w połączeniu z najlepszymi osiągnięciami dawnego. Wachtangow nie był niczyim epigonem, był natomiast twórczym i bystrym uczniem swoich wielkich poprzedników. Sam, stwarzając nowe tradycje i wychowując wielu uczniów, położył podwaliny pod nową szkołę twórczą, której uczniowie zajmują dzisiaj czołowe stanowiska w teatrze radzieckim, żeby wymienić takie nazwiska, jak Popowa, Simonowa, Wołkowa czy Gorczakowa.

Co nowego wniósł Wachtangow do budowy artystycznej inscenizacji radzieckiego teatru? Otóż przede wszystkim zwrócił się ku teatrowi dla mas. Teatrowi takiemu zasadniczo odpowiada repertuar bohaterski, znacznie bardziej, niż kameralny. Teatr tedy, według Wachtangowa „powinien służyć ludziom jako pomoc w rozwiązywaniu wielkich zagadnień życia" Orientując się zatem, że w epoce wojen i rewolucji trzeba mówić właśnie o tym, Wachtangow marzył o stworzeniu bohaterskiego obrazu narodu walczącego o zwycięstwo swoje i ludzkości. Żądał on od artystów swego pokolenia głębokiej moralnej i twórczej więzi z narodem. Radziecki artysta powinien, według niego być wyrazicielem serca narodu, jego najpiękniejszych wrażeń, myśli i dążeń. Jeśli artysta chce brać udział w rozwoju sztuki i tworzyć nową musi „wniknąć w duszę narodu, — bo to, co się w nim skrystalizowało, jest nieśmiertelne, ponad wszelką pewność".

Nie mniej głębokie są sądy Wachtangowa o pracy aktora. Artysta, według niego, powienien głęboko i wiernie odtwarzać rzerzywistość i słusznie ją oceniać. Tworząc obraz, scenę, aktor ma w niej przedstawić właśnie tę rzeczywistość. Nie mając do niej żadnego stosunku, nie mając własnego punktu widzenia, kryterium, nie można stworzyć i przedstwić typu czy charakteru człowieka, którego się chce przedstawić.

Wspominając Wachtangowa, jego życie i dzieło twórcze, nie sposób przejść do porządku nad tymi uwagami, które i w naszym życiu artystycznym dnia dzisiejszego mają swe aktualne brzmienie.

Aleksander Baumgardten

Książka polska o Niemczech

Marian Friedberg: KULTURA POLSKA A NIEMIECKA. Elementy rodzime a wpływy niemieckie w ustroju i kulturze Polski średniowiecznej. T. I, str. 363, t. II 309. Poznań 1946. Wydawnictwo Instytutu Zachodniego.

Historiografia niemiecka w ciągu ostatnich zwłaszcza stu lat przeszła ogromną ewolucję, która oddaliła ją jak najdalej od obiektywnej prawdy historycznej, a narzuciła jej poglądy, nie mające nic wspólnego z nauką, poglądy polityczne, przejmujące bez zastrzeżeń pruską rację państwową, w odniesieniu do sąsiadów Prus wyrażającą się w skrajnym imperializmie. Historycy polscy pracowali w warunkach o wiele mniej korzystnych, a stosując nadto konsekwentnie zasadę obiektywizmu naukowego w swej pracy, nie mogli przeciwstawiać się rosnącym niemieckim fałszom historycznym, zwłaszcza jeśli chodzi o przedstawianie stosunków niemiecko-polskich. W okresie międzywojennym historiografia polska, nie odstępując wciąż ani kroku od prawdy, zaczęła się w sposób stanowczy rozprawiać z fałszami historiografii niemieckiej. Powstały instytuty naukowe, których specjalnością było m. in. badanie stosunków polsko-niemieckich.

Po wojnie sytuacja zmieniła się całkowicie. Historycy niemieccy zdyskredytowali się jako uczeni, historiografia pruska przycichła, a jej dotychczasowa metoda potępiona została przez polityków. Przed nauką polską otwarły się nowe horyzonty i nowe zadania. Czas dokonać rewizji dziejów polsko-niemieckich, ze szczególnym uwzględnieniem tych momentów, które stronniczo przedstawione przez historyków niemieckich wykośławiały w wyobrażeniu świata prawdę historyczną. Momentami takimi są między innymi dzieje średniowieczne Polski i puszczona przez historyków niemieckich w świat legenda o rzekomych olbrzymich wartościach niemieckich, które przeszły do ustroju, spraw społecznych i kultury Polski.

Marian Friedberg w dwutomowej swej pracy, pisanej w ciężkich warunkach konspiracyjnych, ustala należytą, odpowiadającą historycznej prawdzie, proporcję wpływów obcych i elementów rodzimych w kształtowaniu się polskiej organizacji państwowej i kultury. Wykazuje on, że wpływy niemieckie były tylko niewielką cząstką szerokiego wachlarza wpływów obcych, jak francuskich, włoskich. Stwierdza on, ile rodzimej inwencji i inicjatywy tkwi w dziele budowania Polski. Nawet w sprawie (zdawałoby się na podstawie dotychczasowych wyników nauki zwłaszcza niemieckiej), tak beznadziejnej, jak powstawanie miast autor gromadzi dowody, świadczące o rodzimej inwencji, a stwierdzenie, że ustrój miast niesiony był później przez Polskę na wschód i północny wschód mocno osłabia twierdzenia niemieckie o „błogosławieństwie niemieckim, niesionym przez Niemców w cztery strony świata". Niezwykle cenny jest rozdział o dziele cywilizacyjnym kościoła polskiego, stanowi on bowiem kapitalny argument przeciwko, także przez historyków niemieckich, rozpowszechnianemu zdaniu, że Polska zdolna była tylko do brania, w najgorszym razie do przekazywania tego samego dalej.

Praca Friedberga jest pasjonującą lekturą, która, choć wyposażona w kompletny aparat naukowy (cenna bibilografia), bynajmniej nie stanowi dzieła ekskluzywnego, ale nadaje się do szerokiego rozpowszechniania i czytania. Wykład jest jasny i przejrzysty i stanowi należyte uzupełnienie wiadomości każdego przeciętnego inteligenta z zakresu historii polskiej. Jako zarys olbrzymiego tematu praca ta będzie musiała być kontynuowana, abyśmy otrzymali nareszcie szczegółowe opracowania poszczególnych elementów państwowości i kultury polskiej z tego właśnie punktu widzenia. Instytutowi Zachodniemu należy się wdzięczność za wydanie tej pracy. Nie jesteśmy pismem naukowym i dlatego wstrzymujemy się od większej recenzji, tą krótką wzmianką nie chcemy jednak w niczym osłabiać wagi i wartości książki Friedberga.

Jerzy Szumilas

Stanisław Dzikowski: NIEMIEC WYSZYDZONY. Warszawa 1946. Wydawnictwo Ludwika Fiszera i Józefa Kubickiego. Str. 195.

Jest to, jak dotąd, najobszerniejszy zbiór polskich ludowych głównie opinii o Niemczech i Niemcach, które autor określa jako front szyderstwa w walce z Niemcami. Książka Dzikowskiego w pierwszej swojej części oparta jest częściowo na pracy Bystronia „Megalomania narodowa", a zwłaszcza na pracy Lücka „Der Mythos vom Deutschen in der polnischen Volksüberlieferung und Literatur". W drugiej części mowa jest o antyniemieckim żarcie i dowcipie w okresie okupacji, przy czym autor wspomina także o akcji wydawniczej w języku niemieckim (Der Klabautermann), o której szerzej mowa była w ostatnich numerach „Odry". Książka Dzikowskiego — to pozycja cenna w naszej literaturze niemcoznawczej, a zestawiony w niej materiał, podany w formie jak najpopularniejszej, nie ma bynajmniej zamiaru utrwalania nienawiści między obu narodami, a stanowi jedynie historyczny przyczynek do stosunków polsko-niemieckich. Ustalone od wieków polskie opinie społeczne o Niemcach są wynikiem odpowiedniego kształtowania się stosunków polsko-niemieckich, a zebranie ich przez Lücka, tak jak w okresie hitlerowskim dawało powód do dalszych antypolskich wystąpień tak w chwili obecnej stanowić winno dla Niemców rodzaj mementa, powód do zastanowienia się, samokrytyki i analizy.

brz.

Aleksander Rogalski: JUŻ NIGDY WIĘCEJ. Z przedmową Adama Grzymały-Siedleckiego. Poznań 1947. Wydawnictwo Zachodnie. Stron 104.

Rogalski w powojennym niemcoznawstwie polskim ma duże zasługi. Pracowity ten publicysta od dwoch już lat informuje bezstronnie na łamach pism poznańskich o współczesnych Niemczech. Zebranie jego celniejszych felietonów i artykułów w osobną książkę było zupełnie uzasadnione, zawierają one bowiem wiele cennych uwag o Niemczech powojennych, poruszają wiele problemów dla naszego przyszłego stosunku do Niemiec, zasadniczych, a niejeden z nich rozwiązują. Te **glossy do spraw niemieckich** — bo taki charakter nosi książka Rogalskiego — winny znaleźć się w ręku każdego polskiego publicysty, każdego czytelnika gazet, każdego naszego polityka. Krytyczny stosunek autora do Niemiec powojennych nie jest wynikiem jakiejś atawistycznej niechęci, lecz warunkowany jest przez wydarzenia i zjawiska, tu w książce skomentowane inteligentnie, żywo i słusznie. Końcowe rozdziały dają zarys programowy nowego stosunku polskiego do Niemiec. Problem likwidacji niebezpieczeństwa niemieckiego rozkłada Rogalski na dwa etapy: etap kary („ . . .okres ten powinien być ciężki, by mógł stanowić poważny czynnik refleksji dla przywódczych elementów niemieckich...") i etap wychowania (kolejność procesów tego etapu: uczucie winy, wstrząs moralny, oczyszczenie duchowe). Jako naczelną zasadę naszego systemu obronnego przeciw niemczyźnie uważa poznanie Niemców i spraw niemieckich. Wszystko ma dążyć do tego, by **już nigdy więcej** sąsiadem naszym nie były pruskie Niemcy.

Jacek Brzym

Sygnalizujemy tutaj doskonałą pracę niemcoznawczą Bolesława Srockiego, wydaną przez Instytut Bałtycki „Nowa Polska i nowe Niemcy". Omówienie jej znajdzie się w jednym z najbliższych numerów „Odry". Nadto notujemy świetną kronikę Niemiec współczesnych (w opracowaniu A. J. Kamińskiego), publikowaną na łamach „Przeglądu Zachodniego". Kronika ta stanowi niezwykle cenny materiał niemcoznawczy ze wszystkich dziedzin życia niemieckiego.

Brz.

Kronika jugosłowiańska

Jak żyją i co robią literaci jugosłowiańscy — Wydatki rządu na literaturę — Śmierć Stajicia — „Slavica" — O sprawach Beneszicia.

Stowarzyszenie Literatów Chorwacji liczy 69 członków rzeczywistych i 7 kandydatów. Każdy członek Stowarzyszenia, jak i kandydat przynależy zarazem do Związku Literatów Jugosławii. Najwybitniejsi literaci otrzymują kartę zaopatrzenia I kateg., inni kategorii II. Ponadto niektórzy najlepsi i najbardziej aktywni uzyskali prawo zaopatrywania się w spółdzielni dla wybitnych pracowników nauki i kultury. Miejska Rada Narodowa w Zagrzebiu zapewniła każdemu z członków, o ile jest czynnym pisarzem, *prawo do osobnej izby jako pracowni.*

Sumy wydatkowane z budżetów publicznych na cele literatury i sztuki są naprawdę imponujące. I tak w pierwszych miesiącach br. centralny rząd Jugosławii i rządy niektórych republik ludowych rozdzieliły *tytułem nagród państwowych w różnych działach twórczości około 2 milionów dinarów, z czego cała jedna trzecia przypadła pisarzom i artystom Chorwacji.* Związek Literatów Jugosławii otrzymał od Komitetu dla Kultury i Sztuki ponad 3 miliony dotacji. Instytut Wydawniczy Chorwacji wypłacił w ub. r. tytułem honorariów około 4 miliony. Akademia Nauki i Sztuki w Zagrzebiu otrzymała dotacji dwa miliony osiemset tysięcy dinarów, a budżet Republiki Chorwackiej przewiduje w br. około 35 milionów na subwencja dla teatrów w Chorwacji. W samym Zagrzebiu wreszcie zeszłoroczne zakupy obrazów i rzeźb artystów chorwackich osiągnęły sumę miliona dinarów. Razem daje to kwotę 47.800.000 dinarów, a nie jest to jeszcze wszystko, gdyż obejmuje głównie samą tylko Chorwację, nie uwzględnia zaś podobnych pozycji pozostałych pięciu republik.

Ważnymi zdobyczami mającymi wpływ na stan materialny literatów jest stworzenie Państwowego Instytutu dla ochrony praw autorskich i zaprowadzenie ogólnych norm dla honorariów literackich. Stawki honorariów ustalono na takim poziomie, że dla pisarzy, którzy pragną poświęcić się wyłącznie literaturze, zapewniają nieznane dotąd w Jugosławii możliwości egzystencji. Na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat było zaledwie tylko kilku literatów zawodowych, którzy żyli z twórczości literackiej, a cała olbrzymia reszta żyła z marnych pensji urzędniczych, lub w najlepszym razie z adwokatury czy innych wolnych zawodów. Jeszcze w ub. r. na I kongresie literatów w Belgradzie skarżono się, że literaci są tak przeciążeni pracami i funkcjami, nie mającymi nic wspólnego z literaturą (podobnie zresztą jak i u nas), iż nie mają w ogóle czasu na twórczość literacką. Jakkolwiek było to nieuniknione w pierwszym, najtrudniejszym okresie odbudowy państwa, to jednak stan taki na dłuższą metę byłby niemożliwy. Więc też rząd centralny i władze niektórych republik odniosły się przychylnie do zgłoszonego w tej mierze postulatu. Tak n. p. władze państwowe Ludowej Republiki Chorwacji wydały *zarządzenie zwolnienia ze służby państwowej i funkcji publicznych każdego znaczniejszego pisarza, który tego zapragnie.* Niektórzy już z tego skorzystali. Dotychczasowa sytuacja całkiem jasno tłumaczy stosunkowo nikłą powojenną produktywność literacką Jugosławii, jak i okoliczność, że mimo olbrzymiego rozmachu widocznego na każdym innym polu pracy, w dziedzinie literatury nie pojawiło się dotąd właściwie ani jedno znakomitsze dzieło o okresie wojennym ani o tematyce i problematyce powojennej.

W Nowym Sadzie zmarł w połowie lutego Wasa Stajić, wielki działacz oświatowy i kulturalny serbski, z wykształcenia germanista, z zawodu profesor gimnazjalny. Przez pewien czas był też sekretarzem, a wreszcie prezesem najstarszej serbskiej instytucji kulturalnej — Macierzy Serbskiej w Nowym Sadzie. Całe jego życie było nieustanną walką o narodowe, socjalne i kulturalne uświadomienie ludu i szerzenie idei braterstwa między Chorwatami i Serbami. Antyklerykał, postępowiec i socjalista, człowiek o szerokich zainteresowaniach, utalentowany popularyzator, setkami artykułów, przemówieniami, popularnymi odczytami wygłaszanymi po miasteczkach i wsiach, niósł kaganiec oświaty w najszersze masy. Ze specjalnym zamiłowaniem organizował młodzież, zaszczepiając jej idee postępu. Szedł między robotników i chłopów, budząc ich do walki o wyzwolenie narodowe i socjalne. Za swoje przekonania i działalność był wielokrotnie ścigany procesami i więziony przez sądy węgierskie. Zapewne najpiękniejszą chwilą w jego życiu było uprowadzenie go w 1944 z więzienia przez grupę młodych partyzantów i przeniesienie w stanie ciężkiej choroby na terytorium oswobodzone. Mimo ustawicznej, wprost olbrzymiej pracy w terenie, znajdował jeszcze czas i siły na poważną pracę przekładową i naukową. Przetłumaczył kilka dzieł naukowych z francuskiego i niemieckiego i napisał około 15 tomów studiów i rozpraw z dziedziny historii literatury i kultury serbskiej, jak o Swetozarze Mileticiu, Zmaju Jowanie Jowanowiciu, Macierzy Serbskiej (1826—1926), Pawle Józefie Szafarziku, o gospodarce Nowego Sadu (1748—1800), przygotował do druku wydanie „Wyboru poezji" Lukijana Muszickiego i „Wyboru pism" Dositeja Obradowicia. Nadto wszystko redagował jeszcze w różnych okresach czasopisma „Nowi Srbin", „Srbska proswjeta" i „Nowa Wojwodina". Serbowie zaliczają go do największych swoich bojowników o postęp, o zjednoczenie i wyzwolenie narodów jugosłowiańskich.

„Slavica" nazywa się pierwszy pełnometrażowy film jugosłowiański. Autorem scenariusza i reżyserem jest Wjeko Afrić, jeden z najlepszych aktorów jugosłowiańskich, obecnie dyrektor szkoły gry i reżyserii filmowej. Praca nad realizacją tego filmu trwała równo rok w ciężkich bardzo warunkach z powodu wielkich braków w wyposażeniu technicznym. Premiera odbyła się w Belgradzie 12 maja br.

Juliusz Beneszić, niezmordowany i kongenialny tłumacz naszych arcydzieł na język serbo - chorwacki, oddał w maju do druku słownik chorwacko-polski objętości przeszło 60.000 słów, nad którym pracował z wytężeniem od kilkunastu lat. W najbliższym czasie wyjdzie już z druku jego przekład „Dymów nad Birkenau" Szmaglewskiej i wyboru nowej Żeromskiego.

W Belgradzie odbyło się 4 maja br. doroczne walne zebranie Towarzystwa dla kulturalnej współpracy Jugosławii z Polską. Prezesem wybrany został Wlada Zeczewić, związkowy minister robót publicznych, wiceprezesami Weljko Petrowić, dyrektor muzeum i literat, dotychczasowy prezes, oraz ks. dr Swetozar Rittig, przewodniczący oddziału chorwackiego tegoż towarzystwa. W skład zarządu weszło 4 profesorów szkół wyższych, 3 ministrów, generał, redaktor i dyrektor państwowego instytutu „Jugosłowiańska Książka".

Wiktor Bazielich

Szczecińska inscenizacja „Dwóch teatrów"

Od dawna, bo niemal od czasów zeszłorocznej „Przeprowadzki" Rostworowskiego nie widzieliśmy na scenie „Komedii Muzycznej" sztuki o tak głębokiej problematyce i tak rozlicznych aspektach artystycznych, jak Jerzego Szaniawskiego „Dwa teatry".

Ponieważ na łamach „Odry" omawiano już tę świetną sztukę z okazji premiery katowickiej, warszawskiej i wrocławskiej, ograniczę się tylko do opisu strony inscenizacyjnej. Inscenizacja, jak i reżyseria tej sztuki jest niewątpliwie trudna. Z jednej bowiem strony wymaga realistycznego podejścia, z drugiej zaś niestracenia nic ze swej poetyckości i finezji metaforycznych.

Reżyser Karczewski nadał zarówno swej postaci, jako dyrektorowi „Małego Zwierciadła", jak i realistycznym osobom z „Powodzi" i „Matki" zdecydowany charakter. Natomiast inscenizacja wizji „teatru snów" potraktowana została nieco „jasełkowo", w sposób uproszczony. Osoby pojawiały się i odchodziły jak marionetki. A przecież tu należało wydobyć całą nastrojowość sztuki, całą jej niecodzienną poetyckość. Można to było zrobić chociażby w ten sposób, ażeby osoby, których dramaty znamy dobrze z dwóch pierwszych części i które w tym właśnie akcie wydobywają maksimum swej drugiej, nierealnej rzekomo prawdy, pokazać w bardziej nastrojowych scenach, a nie w pełni oświetlenia, wygrać te sceny tylko głosem, a nie prostym pokazaniem postaci i patetycznym wygłoszeniem ról oraz jasełkowym popychaniem się na scenie, jedna osoba tuż obok drugiej.

„Teatr snów" zresztą nie zaczyna się i nie kończy dopiero w trzeciej części, choć tam osiąga punkt kulminacyjny. Trwa on przez cały czas w niedomówieniach, gestach, w poezji przemilczeń. I o tym też należało pomyśleć.

Dyrektora „Małego Zwierciadła" zagrał inteligentnie sam reżyser p. *Zdzisław Karczewski*, nadając tej postaci maksimum bezpośredniości. Bardzo dobrą jako matka była dawno nie widziana na scenie p. *E. Więckowska*. Żywe postacie stworzyła p. *Czosnowska* raz jako żona Andrzeja, drugi raz jako „Pani"(!). Dobrze rozumiał rolę „Chłopca z deszczu" p. *Małkowski*. Jako starzec z „Powodzi" wyróżnił się doskonałą sylwetką i grą p. *Zbyszewski*. Niezbyt wdzięczną rolę miała p. *Stanisławska Z.* jako Laura, umiała jednak wydobyć z niej wiele ekspresji. Lizelotta p. *Zarembianki Zdz.* posiadała dużo czaru i była jedną z jej lepszych kreacji. P. *Wesołowski* jak zwykle dobry w charakterystycznej roli Woźnego. P. *Daszewski* wystąpił w roli dyrektora „Teatru snów". Dużo tragizmu i plastyki nadał postaci Andrzeja p. *Jabłoński*. Dosyć interesująca oprawa muzyczna p. Czosnowskiego tworzyła jednak w przerwie między drugim a trzecim aktem nieoczekiwaną kakofonię na tle zagłuszających muzykę stukotów młotków i huku przesuwanych dekoracji. Dekoracje *Bałakirewa* na ogół poprawne. O ile jednak w „Powodzi" były one umiejętnie rozwiązane, to w „Matce" raziły prymitywnie wysuniętym do widowni pokojem.

S. T.

Dwie opery narodowe

Teatr ostrawski wystawił w Katowicach i w Bytomiu „Sprzedaną narzeczoną" Smetany. Opera Śląska wystąpiła z „Halką" w Morawskiej Ostrawie.

Opery narodowe dwu bratnich narodów...

Są one jakby odbiciem wszystkich naszych różnic jako dwu słowiańskich narodów, są również wyrazem tego, co nas łączy, co mamy wspólnego.

Obie opery czerpią swe motywy z ludu. A jednak są różne. „Halka" jest odzwierciadleniem historycznego rozwoju Polski, tej szerokiej przepaści między ludem a szlachtą. Ta ostatnia pojmuje właściwie siłę prostych warstw, ale pomimo tego są one dla niej tylko sługą, czasem zabawką, rzadko czymś więcej.

Podobna sytuacja byłaby się prawdopodobnie wytworzyła również w Czechach. Ale tam była szlachta obca, głównie niemiecka — zwłaszcza po wojnach husyckich. W Polsce szlachta i lud stanowiły jedną całość, jeden naród (pomimo tego, że wpływy i znaczenie tych dwu warstw były tak bardzo różne). W Czechach były dwa światy ostro odgraniczone zewnętrznymi cechami... Te dwa światy starły się nawet z sobą, — lud był nawet zwycięski w pewnym okresie już przed wiekami. Pamiętając o tym zawsze był gotów stawić czoło tej obcej szlachcie. Jest więc rzeczą jasną, że wydarzenia tego rodzaju, jak np. motyw „Halki", były tam prawie niespotykane. Podobnie rzecz się miała w stosunkach ludu ze szlachtą w ogóle. Kontaktów raczej nie było; był antagonizm. Dlatego też „Sprzedana narzeczona" jest operą czysto ludową, pełną zdrowego humoru, żywiołowej fantazji i lirycznych motywów wsi. „Halka" przynosi obok momentów ludowych, temperament i fantazję szlachecką, ale również jej delikatność i sztuczność. Przez nią opera pozostawia poczucie niesprawiedliwości, krzywdy...

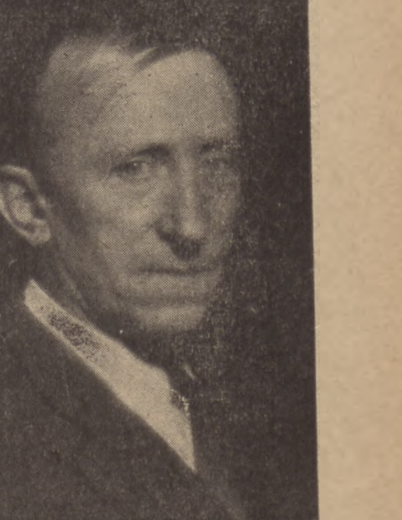
Wspólną twórczą podnietą był dla Moniuszki i Smetany widok prostej zagrody wiejskiej, radosny słoneczny dzień ludu, jego żywiołowa zabawa po ciężkiej nieraz pracy, piękno rozległych pól i głębokich borów, piękno ziemi polskiej i czeskiej.

A to łączy również oba nasze narody — prostota i szczerość. Dzieliła je tylko czysta ludowość życia czeskiego a szlachecka wyniosłość, która w pewnej mierze przenikała i do polskiego ludu.

Ale jednak ta naturalna podstawa bliskości jest szersza: czeska opera narodowa była zrozumiała i bardzo bliska uczuciowo dla Katowic a „Halka" dla Morawskiej Ostrawy. Tak samo bliskie są sobie nasze narody. Dobrze, że się możemy wzajemnie zrozumieć i zbliżyć...

JIRZINA URBANKOVA

Dwaj pisarze katoliccy



JERZY ZAWIEYSKI, jeden z najwybitniejszych dramaturgów współczesnych, pisarz katolicki, wydał ostatnio drukiem „Rozdroża miłości", rzecz w 3-ch aktach, graną długi czas w Krakowie i przełożoną w międzyczasie na kilka języków. Książkę wydało wydawnictwo E. Kuthana niezwykle starannie, na doskonałym bezdrzewnym papierze. Twórczość Jerzego Zawieyskiego będzie szerzej omówiona na naszych łamach



JERZY ZAGÓRSKI należy do grupy najwybitniejszych współczesnych poetów polskich. Ostatni jego tom, wydany w „Książce" pt. „Wieczór w Wieliszewie", zawiera wiersze pisane na przestrzeni osiemnastu z górą lat, wykazujące wszystkie dobre cechy tego znakomitego pióra. Zagórski wydał ponadto z Jerzym Andrzejewskim najdoskonalszą i najdowcipniejszą komedię polską „Święto Winkelrida", nakładem krakowskiego oddziału ZZLP

Wkrótce drukować będziemy w „Odrze" korespondencje paryskie J. Zagórskiego.

„ODRA" — najlepszą lekturą na urlopie!

Wśród czasopism

Zagadnienia właściwej polityki kulturalnej w nowych warunkach Polski powojennej dyskutowane były dotychczas skąpo. Raczej dyskusje te nastawione były na krytykę doraźnych poczynań niż na formułowanie postulatów i konstruowanie planów, obmyślanie ich realizacji. W każdym razie stworzeniem programu dla polityki kulturalnej nie zajęły się dotychczas w pierwszym rzędzie do tego powołane instytucje państwowe (jak Ministerstwo Kultury i Sztuki) czy społeczne (Centralna Komisja Związków Zawodowych). Tak charakterystyczny dla odbudowy naszej państwowości po wojnie okres improwizacji na odcinku kulturalnym trwa jeszcze dotychczas i przyznać trzeba, że ze wszystkich podlegających tu odbudowie i reorganizowaniu dziedzin życia improwizacja ta przynosi najmniej pocieszające rezultaty. Wystarczy wskazać na świetlice i domy kultury, wystarczy stwierdzić anarchię panującą w ruchu wydawniczym, by sąd ten potwierdzić, wystarczy spojrzeć w najbliższą przyszłość teatru polskiego, by się zaniepokoić.

To też pewnego rodzaju wydarzeniem jest przy tym stanie rzeczy artykuł wstępny **Stefana Żółkiewskiego** w nr. 27 **„Kuźnicy“** p. t. **Uwagi o polityce kulturalnej.** Wydarzeniem nie tylko przez swą treść, lecz i przez okoliczności powstania. Napisany bowiem został jako wstęp do dyskusji mającej przygotować materiał i tezy na pierwszy ogólnopolski Kongres Kultury, który zostanie zwołany w niedługim czasie przez Centralną Komisję Związków Zawodowych w porozumieniu z Ministerstwem Kultury i Sztuki. Stanowi więc zasadniczą pierwszą próbę generalnego ustalenia postulatów kulturalnych i przynosi zapowiedź poważnych zmian w dotychczasowym systemie naszej polityki kulturalnej.

Żółkiewski jest publicystą rozsądnym, inteligentnym, patrzącym trzeźwo, krytycznie i praktycznie na stawiane zagadnienia. Ma skłonności do doktrynerstwa w duchu marksizmu, ale to mu wolno, jest bowiem jednym z najwybitniejszych przedstawicieli marksizmu w Polsce powojennej a przy tym jednym z najbardziej konsekwentnie reprezentujących tezy marksistowskie w zakresie problematyki kultury. Wywody jego w omawianym artykule również mają cechy tej jednostronności, która jednak nie występuje tak ostro jak w innych jego dotychczasowych wypowiedziach, mniej budzi sprzeciwów, podczas gdy całość zagadnienia zarysowana jest przejrzyście i przekonywująco.

Za główne zadanie naszego pokolenia w zakresie kultury uważa Żółkiewski słusznie „zmianę struktury życia kulturalnego w Polsce: zniesienie rozdziału między dojrzałą, arystokratyczną kulturą klas uprzywilejowanych i służącej im inteligencji, a kulturą mas“. Dalszą jego tezą podstawową jest, że „przedmiotem polityki kulturalnej nie są osobowości artystów i ideologów. Przedmiotem polityki kulturalnej są i mogą być jedynie złożone sytuacje kulturalne: sytuacje, w których twórcy wartości kulturalnych współuczestniczą“. Sądzi on, że „skuteczne przeobrażenia treści kultury, jej rewolucjonizowanie, tworzenie jej nowego ideowego kierunku dokonuje się w rzeczywistości poprzez celowe, kierunkowe zmiany sytuacji kulturalnych, a nie tylko czy przede wszystkim przez propagandę wśród twórców nowych programów ideologicznych“. Ustaliwszy następnie bezsporny dziś już postulat stworzenia polskiego planu kulturalnego pisze: „Idzie o planowe zorganizowanie zinstytucjonalizowanych (straszne słowo!) form życia kulturalnego. Plan w kulturze nie oznacza i nie może oznaczać policyjnego skrępowania osoby artysty. Idzie o planowe i celowe zorganizowanie tych czynników życia kulturalnego, które i tak musiały być zorganizowane, tylko dotąd w sposób zależny od anarchistycznych natchnień wolnej osobowości kapitalisty handlującego sztuką“. Ustala więc Żółkiewski konkretne postulat zorganizowania powszechnej konsumpcji wartości kulturalnych. Chodzi więc o „rozbudowę instytucji życia kulturalnego mas, tworzenie świetlic, wydziałów kulturalno-oświatowych związków zawodowych, intensyfikację ich pracy, podniesienie ich poziomu, eliminację dyletatyzmu“. Dalsze ogniwa to stworzenie sieci bibliotek, skodyfikowanie w duchu programu polityki kulturalnej ogólnopolskiego planu wydawniczego, rozszerzenie i zagęszczenie sieci kin objazdowych, teatrów, ruchomych wystaw i radiofonizacja, dalej usprawnienie i podniesienie życa kulturalnego w organizacjach społecznych. Jako końcowe najważniejsze zadania stawia Żółkiewski szkolenie odpowiednich pracowników i zacieśnienie współpracy artystów i oświatowców. W tym ostatnim punkcie autor ujmuje zagadnienie z dwóch punktów widzenia: nie tylko artysta musi zbliżyć się do nowych form życia kulturalnego, nie tylko artysta musi szukać świetlicy, by dotrzeć do ludzi, których ona skupia, nie tylko on musi zastosować się do wymagań, jakie mu świetlica stawia. „Dziś to raczej oświatowcy — pisze Żółkiewski — nie znajdują drogi do twórców i artystów, aniżeli odwrotnie. To oświatowcy nie potrzebują artystów, starczy im byle kto, bo pracują bez rozmachu, bez ambicji, bez perspektyw tworzenia nowej kultury. To związanie oświatowców i twórców — to poważne zadanie dla centralnych ośrodków kierownictwa kulturalnego. I tego nie załatwi się gadaniem. Trzeba tworzyć konkretne, społeczne, zinstytucjonalizowane (znów!) formy takiej współpracy. Np. stanowiska kierowników literackich teatrów świetlicowych wielkich związków zawodowych czy organizacji ogólnopolskich obsadzane przez pierwszorzędnych znawców, opłacanych i honorowanych na równi z kierownikami literackimi teatrów państwowych“.

Przed tym całym planem wysunął Żółkiewski dwa jeszcze zasadnicze żądania. Pierwsze z nich postuluje wykształcenie krytyki ideologicznej, krytyki walczącej o nowy gust literacki „przez celowe zreformowanie nie tylko praktyki naszej krytyki artystycznej, ale także nauki o kulturze w ogóle, i przede wszystkim zrewolucjonizowanie społecznych wyobrażeń dotyczących dotychczas klasowo, antyludowo interpretowanej tradycji kulturalnej polskiej i europejskiej“. Ze swego punktu widzenia ma tutaj Żółkiewski też całkawitą słuszność, miałby ją bezsporną, gdybyśmy w tym żądaniu nie czuli chęci stworzenia jednostronnego, marksistowskiego obrazu omawianej tradycji, co prowadzić musi do opłakanych często i karykaturalnych rezultatów, których nie ustrzegł się np. Ignacy Fik w swoim ujęciu dziejów literatury polskiej. A już chyba poza początkową tezę, że przedmiotem polityki kulturalnej nie są osobowości artystów i twórców, wykracza wołanie o walkę o świadomość i ideowość twórcy, przy czym w tej walce główną rolę według Żółkiewskiego winny grać partie polityczne, od których domaga się rozumnego (na szczęście) zainteresowania kulturą i twórcami. W zestawieniu z tym żądaniem nieodparcie przypomina się teza prezydenta Benesza postawiona na zjeździe pisarzy czeskich: „Partyjnicy i ludzie uprzedzeni czy kierowani stanowiskiem partyjnym mogą sobie pozwolić na to, aby być nietolerancyjni w rzeczy i formie. Pisarz nie powinien być taki. Pisarz powinien widzieć zawsze najpierw człowieka, potem dopiero członka partii. Inaczej nie mógłby pełnić swego wielkiego zadania i być obiektywnym wyrazicielem duchowego fermentu swego społeczeństwa; w ramach dogmatycznego stanowiska którejkolwiek partii nie może ono być duchowo nigdy dosyć bogate i staje się w pewnym sensie stojącą wodą“. Ta więc strona żądań Żółkiewskiego budzi obawy tego dogmatyzmu, który chętnie zarzuca się katolikom. Przesadził też chyba Żółkiewski, gdy domaga się, że „cały możliwy splendor społeczny winien spaść np. na twórcę repertuaru świetlicowego“. W końcu przecież taki twórca będzie zasadniczo tylko pośrednikiem wprowadzającym do świetlicy dzieła o wysokiej wartości artystycznej, adaptującym je, nadającym im odpowiednie formy, tak jak np. radiofonizator przystosowujący dzieło literackie, prozę, poezję czy dramat do potrzeb mikrofonu. Chyba, że doczekamy czasów, że sami twórcy będą tworzyli z myślą o świetlicy i jej wymaganiach technicznych, tak jak tworzą dla filmu czy radia. To jednak jest proces dosyć długi.

Artykuł Żółkiewskiego powinien wywołać szerszą dyskusję, która leży zresztą w intencjach autora. Dyskusja ta będzie bowiem przygotowaniem do wspomnianego Kongresu Kultury, którego problematyka — jak pisze Żółkiewski — „nie powinna być narzucona przez bądź co bądź szczupłe grono organizatorów“.

(ki)

Notatki z Wrocławia

Do czwartków literackich przybyły poniedziałki u literatów. We Wrocławiu jak wiadomo — powstał już oddział Zw. Zaw. Literatów Polskich po rozwiązaniu oddziału jeleniogórskiego, którego ostatnim niezbyt chlubnym wyczynem był „Pierwszy zjazd pisarzy polskich ziemi sudeckiej“. Wrocław posiada duży narybek literacki, a wieczory literackie gromadzą tu spore zastępy młodzieży. Miasto Wrocław uchwaliło już także swoją coroczną nagrodę literacką i jeśli wolno nam podszepnąć szanownemu przyszłemu jury jakieś nazwisko, to wypowiadamy krótko: Anna Kowalska.

Wrocławska wystawa grafiki i malarstwa odbyła się nareszcie we własnym lokalu. Eugeniusz Geppert, zdobywca Wrocławia, przechodzi pewną ewolucję w kierunku rozjaśniania. Podobają się bardzo obrazy Emila Krchy.

Pisma codzienne wrocławskie w odróżnieniu od dzienników katowickich dają skrupulatne sprawozdanie ze wszystkich imprez literackich; każdy czwartek literacki omawiany jest tu szczegółowo, przez co kontakt szarego czytelnika z życiem kulturalno - literackim, chociażby tylko w ten sposób, utrzymuje swoją ciągłość. Dziennikom katowickim wołamy z Wrocławia: „Wstydźcie się!“

Tadeusz Szafraniec drukuje w „Słowie Polskim“ ciekawy cykl p. t. „My i oni“, zawierający szereg bezpretensjonalnych literacko a niezwykle miłych obrazków śląskich. Obrazki te podane są w formie gawędy, tak popularnej ongiś na łamach dawnych pism śląskich, i wśród szerokich rzesz czytelników powinny utrwalać miłość do Śląska.

Hal.

WYSTAWA GRAFIKI
w Katowicach





W Katowicach odbywa się interesująca ogólnopolska wystawa grafiki książkowej, którą śmiało zaliczyć można do najlepszych wystaw, jakie Śląsk oglądał po wojnie. Wystawa nastraja optymistycznie co do przyszłości polskiej grafiki książkowej. Przegląd wystawionych wydawnictw, rysunków, projektów także w ewentualnej skali porównawczej z grafiką innych narodów, zasługuje na najwyższe pochwały. U góry od lewej: Adam Marczyński — Ilustracja, Korolak — Okładka. U dołu: Lewit i Him, ilustracja



O „Baśniach kaszubskich“
Zuzanny Rabskiej

Wznowione, *czwarte wydanie „Baśni kaszubskich“* Zuzanny Rabskiej, które ukazało się obecnie na półkach księgarskich świadczy nie tylko o poczytności tej skromnej książeczki, ale przede wszystkim o jej aktualności. I może nigdy aktualność tego zbioru legend i baśni ludu kaszubskiego nie była tak duża, jak obecnie. Nasza literatura pomorzoznawcza bowiem jest wciąż jeszcze uboga, a brak wznowień naj celniejszych pozycji przedwojennych daje się odczuwać dotkliwie. A przecież książki z tej właśnie dziedziny zostały najbardziej może przetrzebione, o ile nie doszczętnie zniszczone. To też na terenie Pomorza Zachodniego brak tych książek odczuwamy podwójnie. Pozostanie chyba zagadką, dlaczego nie ukazało się dotąd, po dwóch latach odzyskania ważnych regionów pomorsko-kaszubskich, wznowienie arcyważnej książki *Kisielewskiego „Ziemia gromadzi prochy“*, czy prawie nieznanej wśród szerszego ogółu a bardzo ciekawej powieści kaszubskiej *Aleks. Majkowskiego* pt. *„Życie i przygody Remusa“* (r. 1939) lub zbioru pism prozą *J. H. Derdowskiego*. Brak też, jeżeli już nie nowego opracowania, to przynajmniej wznowienia antologii *Zbig. Jasińskiego* pt. *„Morze w poezji polskiej“* (1937 r.).

Nowej edycji oczekują powieści marynistyczne *J. Conrada Korzeniowskiego*. Warta wznowienia jest też książka *Wac. Sobeskiego „Walka o Pomorze“*. Na przetłumaczenie oczekuje szereg książek niemieckich, mówiących wyraźnie o słowiańskości, względnie o polskości Pomorza Zachodniego, jak np. *„Kronika Pomorza“ Kantzowa*. Rejestr ten nie zamknięty, mimo, że niewiele jeszcze pozycji dałoby się znaleźć.

„B a ś n i e k a s z u b s k i e“, nie są n a j w a ż n i e j s z ą czy n a j p i l n i e j s z ą pozycją, niemniej jednak są wznowieniem bardzo aktualnym. Byłoby nawet dobrze, *gdyby kilka z tych baśni weszło do nowych czytanek dla szkół powszechnych nie tylko na Pomorzu Zachodnim, ale w całej Polsce.* Z morzem polskim, z życiem rybaków i ich obyczajami należy przecież nawiązywać łączność już od najmłodszych lat. Jaki zaś utwór może lepiej trafić do serc dzieci i młodzieży jak nie baśń?

W przedmowie do tej 107-stronicowej książeczki podaje autorka, że zawarte w niej baśnie i legendy słyszała z ust starego rybaka. Jeżeli nie jest to tylko poetycką przenośnią, to „Baśnie kaszubskie“ mimo swego przestylizowania na język literacki, zasługują na tym większą uwagę, że stanowią do pewnego stopnia autentyczny materiał. Wprawdzie autorka sama zaznacza, że „niektóre gadki kaszubskie tak są podobne do tych, które wam opowiadały wasze nianie, aż dziw, że przewędrowały taki szmat drogi, spod Karpat np. do Bałtyku, pozostały one takie same, te same występują w nich czarownice i te same zdarzają się rzeczy“!

Jest to najzupełniej prawdopodobne i naturalne, gdyż bardzo wiele baśni ma wspólną ojczyznę i niemal identyczną treść mimo różnych tytułów w różnych krajach.

Dowiedziono już dawno na podstawie np. najsłynniejszego zbioru baśni hinduskich „Pańczatantary“, tłumaczonej jeszcze w średniowieczu na wszystkie prawie języki europejskie, że baśń i bajka wszystkich niemal kulturalnych narodów świata zawiera pierwiastki, zapożyczone z twórczości poetów hinduskich. Wędrówka zatem baśni z Indii poprzez wszystkie kraje Europy niewiele w nich zmieniła. Nie o to jednak chodzi w danym wypadku. Dla nas ważne jest to, ażeby te baśnie miały przede wszystkim regionalny koloryt, aby były związane z morzem, rybakami i wierzeniami ludu kaszubskiego. Tak też jest z większością „Baśni kaszubskich“ i na tym właśnie polega ich wartość. Aby je jeszcze właściwiej ocenić, należy uprzytomnić sobie zasadniczą różnicę, jaka zachodzi pomiędzy *baśnią a bajką.*

Np. historia o królewnie Śnieżce jest baśnią, historia o wilku i owieczkach — bajką. W baśni tkwi bowiem wielki potencjał uczuciowy, apeluje ona przede wszystkim do naszego uczucia i fantazji, stara się nas tylko zająć, wzruszyć, a w końcu uspokoić szczęśliwym rozwiązaniem. Bajka natomiast apeluje przede wszystkim do naszego rozumu (jak np. w owej historii o wilku i owcach, przebłyskuje w niej morał i dydaktyzm. Baśń zatem zawiera w sobie dużo elementów poetyckości i posiada swoją charakterystyczną atmosferę.

Z tego punktu widzenia oceniając „Baśnie kaszubskie“, należy jedne z nich uznać za wysoko wartościowe pod względem poetycko-baśniowym, inne zaliczyć należy do relacyjno-dydaktycznych bajek. Do tego drugiego rodzaju należą np. opowieści „O zatopionym dzwonie“, przeładowane wyraźnym morałem, „O kamieniu zwanym — „bożą stopką“, będącym suchą relacją, bez próby stworzenia atmosfery baśniowej, czy też „O palącym się morzu“ lub „O dobrym jeziorze“.

Natomiast takie baśnie, jak „O helskich dzwonach“, „O ostatniej syrenie helskiej“ czy parafraza znanej baśni, zręcznie przetransponowanej na opowieść „O dzieciach pana na Cieszkowie“, a przede wszystkim piękna baśń „O Bugdalu i o drewnianym koniu“ mają charakter nie tylko pięknia istotnych baśni, ale także dużo poetyckości i finezji metaforycznej.

Szkoda tylko, że *tekst czterech baśni został* tak fatalnie wydrukowany, iż stał się zupełnie nieczytelny. Na ogół bowiem książka jest starannie opracowana, a wydanie jej nie w Warszawie czy Krakowie, lecz w „prowincjonalnej“ Bydgoszczy nakładem Pomorskiej Spółdzielni Księgarskiej „Nauka“ świadczy dobrze o ambicjach kulturalnych regionu pomorskiego.

Stanisław Telega.

Kronika czeskosłowacka

Pierwszym pokłosiem pobytu czeskich pisarzy w Polsce jest krótki artykuł, jaki pojawił się na łamach berneńskich „Svobodnych Novin“ z dnia 18 czerwca br. pt. „Pisarze pogłębiają słowiańską wzajemność“. Z artykułu tegó m. in. cytujemy:

„Czterech czeskich pisarzy: Maria Pujmanowa, Franciszek Halas, A. C. Nor i Wacław Rzezacz przejechali Polskę wzdłuż i wszerz, aby patrzeć, posłuchać i zapoznać się z odbudową kraju, dostrzec jego kulturalny rozwój i polityczną konsolidację. O tych wynikach mówią pisarze z radością i pełni nadziei, gdyż spotkali się w Polsce z gorącym przywitaniem oraz z niewątpliwie serdecznym i nie udawanym zainteresowaniem dla narodu czeskiego i słowackiego. Pisarze wszędzie byli witani z ochocą (elan!), która jest częścią romantyczniejszego pojmowania życia, zdolniejszego do większego entuzjazmu. „A my potrzebowalibyśmy trochę tego waszego romantyzmu“ — odpowiedział Franciszek Halas... tym, którzy na odwrót podziwiają nasz realny zmysł i naszą zdolność trzeźwego kierowania. A w tej odpowiedzi jest równocześnie resume jego wrażeń z Polski. Maria Pujmanowa najwięcej podkreśla polskie zainteresowanie się blokiem słowiańskim i polityczne znaczenie polsko-czeskosłowackiej współpracy kulturalnej. Wacław Rzezacz znajduje w Polsce cenny przykład dla naszych wysiłków w dziedzinie kultury — w szczególności godną naśladowania jest, według niego, doskonała decentralizacja, tak że akcja kulturalna jest rozłożona na szereg ognisk oświatowych w kraju, a zatem istnieją tutaj wszelkie możliwości kulturalnego wyżycia się, a równocześnie także bogatego współzawodnictwa. A. C. Nor oceniając pracę, którą wykonała delegacja czeskich pisarzy w Polsce dla dobra kultury czeskiej, nazywa wyniki tej pracy konkretnymi. W sumie — wyjazd czeskich pisarzy do Polski trzeba uważać za wydarzenie nadzwyczaj korzystne.

Polski i czeski świat literacki doczekał się wspaniałego „potraktowania“ swych pisarzy w ostatnio wydanym zbiorze nowel, szkiców i poezji, jaki wyszedł w języku angielskim w Londynie w wydawnictwie Penguin. Zbiór ten zredagował John Lehman. Cała słowiańska literatura jest tutaj reprezentowana przez jednego Czecha i jednego Polaka. Są to: czeski poeta Iwan Jelinek i polski poeta, Stanisław Baliński. Każdy z nich w omawianym zbiórku ma po jednym wierszu.

* * *

Teatr Narodowy w Bratysławie wystawił w ostatnich dniach współczesną groteskę satyryczną słowackiego pisarza dra. Iwana Stodoły pt. „Kde bolo tam bolo“ (Gdzie było tam było). Groteska ta, która wywołała dużo komentarzy w słowackich kołach literackich ze względu na początkowy zakaz wystawienia jej w Bratysławie, uważana jest za utwór dosyć słaby. Wielkie natomiast wrażenie wywołała ostatnio wystawiona w tym samym Teatrze Narodowym w Bratysławie premiera udramatyzowanego poematu miłosnego, słowackiego poety Kostry pt. „Ave Ewa“.

* * *

W tych dniach założono w Bratysławie polsko - słowackie towarzystwo. Na pierwszym posiedzeniu tego stowarzyszenia referat o słowiańskiej orientacji wśród Słowaków wygłosił przewodniczący tzw. sboru popovierencu dr Husak. Przewodniczącym nowego stowarzyszenia został obrany dr Szoltesz, zaś sekretarzem dr Miszianik. Honorowymi prezesami zamianowano dra Lettricha i dra Husaka.

Av.

Pamiętniki

Karol Estreicher: „Nie odrazu Kraków zbudowano“, Kraków 1947. Spółdzielnia księgarska „Czytelnik“.

Rudolf Wacek: „W polskich kniejach“, Opole 1947. Wydawnictwo Diecezjalne Św. Krzyża.

Wspomnienia pamiętnikarskie — zdawałoby się — są najłatwiejszą formą wypowiedzenia się autora. Od pamiętnikarza bowiem nie wymaga się zbyt skrupulatnie poziomu literackiego, mając na względzie raczej nagromadzenie faktycznej lub anegdotycznej treści z życia swego i swego otoczenia — zwłaszcza, jeśli opisywane zdarzenia dotyczą osób znanych z działalności na terenie artystycznym, naukowym, społecznym, politycznym lub gospodarczym. Pamiętnik tego rodzaju jest mniej więcej pożytecznym przyczynkiem dla historyka — biografa, a jego autor, rzecz prosta, nie musi być obdarzony specjalnie ani talentem literackim, ani wyobraźnią poetycką.

Wspomnienia jednak Karola Estreichera i Rudolfa Wacka mają właściwy wyraz literacki, a swoją formą zbliżone są raczej do powieści autobiograficznych (zwłaszcza „Nie odrazu Kraków zbudowano“), nie zatracając przy tym w pewnych fragmentach swego pamiętnikarskiego charakteru.

I jakkolwiek treść obu książek krańcowo się różni, gdyż tematem Estreichera jest życie miasta, a tematem Wacka życie lasu, to jednak obaj autorzy przez swój kunszt pisarski są sobie bliscy na terenie literatury pięknej.

Estreichera „Nie odrazu Kraków zbudowano“, to wspomnienia czasów dziecinnych i młodzieńczych autora od r. 1912 do 1918. — Przed oczami czytelnika przesuwają się postacie, znanych nam, a starszej generacji znanych niektórym nawet osobiście — literatów, uczonych, malarzy, muzyków i aktorów lub polityków i społeczników, których autor pamięta lub o których słyszał z opowiadań swego ojca. — Na tle tych „znajomości“ rozwija Estreicher niemal że akcję powieściową ośrodkiem której jest jego dom rodzinny i osobiste przeżycia, zabawne lub poważne. Często dowcipne i satyryczne podejście do opisywanych zdarzeń i sytuacji życiowych własnych i cudzych, plastyczna charakteryzacja spotykanych ludzi, a czasem kpiarska, lecz nieszkodliwa, swobodny tok narracyjny i literacki język, stawiają „Nie odrazu Kraków zbudowano“ w rzędzie wartościowych pozycji powojennej literatury.

W książce Estreichera znajdujemy kilka ciekawych szczegółów z życia Stanisława Wyspiańskiego, Adama Szymańskiego i Stanisława Koźmiana, szczegółów, których prawdopodopodobnie nie doszukalibyśmy się u biografów wymienionych postaci. — Rozpatrując książkę Estreichera od strony anegdoty pamiętnikarskiej, możnaby jej zarzucić pewne nieprawdopodobieństwa, jak np. zapamiętanie i zrozumienie przez 6-letniego bąka poważnych rozmów na tematy polityczne i narodowe podsłuchanych przez niego w gronie profesorów Uniwersytetu. Jednakże ten sposób kojarzenia zdarzeń lub treści rozmów nadaje książce charakter powieściowy, co raczej wychodzi na korzyść autora i jego dzieła. Dużego uroku opowiadaniom Estreichera dodają dobre ilustracje J. Pagaczewskiej. Natomiast kompozycja okładki, pomysłu B. Hoffmanówny razi swoim „handlowym“ układem, pomimo przecież niezłej ilustracji, przedstawiającej stare mury krakowskie.

Książka Rudolfa Wacka „W polskich kniejach“, posiada już więcej charakteru opisowo-gawędziarskiego, jakkolwiek i ona swym pięknym stylem i swą techniką pisarską jest raczej twórczością literacko-opisową. Pozatem lektura wielce pouczająca w dziedzinie życia i zwyczajów ptasiego i zwierzęcego świata, z którym autor spotyka się od lat młodzieńczych w polskich kniejach i górach, na rzekach i rozlewnych stawiskach i na zagonach pól. Autor jest myśliwym z zamiłowania, mógłby zatem skorzystać ze zwyczajowego prawa myśliwskiego do przesady i samochwalstwa. Nie czyni jednak tego, jest skromnym. I to jest również zaletą jego pióra.

Włodzimierz Żelechowski.

Książka Ziem Odzyskanych

Roman Horoszkiewicz: „Z PRZESZŁOŚCI OPOLA“, Tow. Przyjaciół Nauki i Sztuki w Opolu, nakł. Drukarni Diecezjalnej, Opole 1947, str. 39.

Autor popularno-naukowych publikacji z historii nowożytnej Śląska, zwłaszcza z okresu powstań śląskich (w których brał czynny udział) zamieszczanych dość często na łamach dzienników i czasopism śląskich, pokusił się ostatnio o napisanie broszury pt. „Z przeszłości Opola“. Zdawna zapowiedziana w prasie przez Tow. Przyjaciół Nauki i Sztuki w Opolu praca R. Horoszkiewicza ukazała się jako pierwsze wydawnictwo tej Instytucji. Niestety, musimy powiedzieć otwarcie, że książka ta w żadnym wypadku nie może być uważana za pracę historyczną, przyczyniającą się do pogłębienia naszej znajomości dziejów stolicy Opolszczyzny. Przy czytaniu bowiem tej broszury nasuwa się mimo woli podejrzenie, że autor nie zadał sobie dostatecznego trudu nad zebraniem materiału źródłowego, nie przestudiował poważnie literatury tematu, lecz z widocznym pośpiechem, (który rzuca się czytelnikowi w oczy przez częste powtarzanie się w temacie i brak logicznego powiązania faktów), usiłował nakreślić obraz przeszłości miasta Opola.

Poszczególne rozdziały broszury, jak: „Opole — prastare osiedle polskie“, „Piastowie — książęta na Opolu“, „Trzy księżne na Opolu“, „Królowie polscy — książętami na Śląsku“ i „Zamki w Opolu“ zapoznają czytelnika z fragmentami dziejów miasta.

Jeszcze kilka słów pod adresem Tow. Przyjaciół Nauki i Sztuki w Opolu. Zadanie Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki nie powinno wyczerpywać się, zdaniem naszym, wyłącznie do wydawania prac popularno-naukowych, choć niewątpliwie znaczenie ich jest dziś wielkie, lecz winno ono również myśleć o wypełnieniu tych ogromnych zaległości, jakie nauka polska ma wobec zagadnień śląskich. Obok popularno-naukowych winny ukazywać się choćby w postaci drobnych przyczynków poważne prace, wzbogacające istotnie nasz naukowy dorobek w dziedzinie historii Śląska. Zdajemy sobie sprawę z trudności zarówno Towarzystwa jak i pracowników naukowych. Zdajemy sobie również sprawę, że nie łatwą jest wobec braku poważnej literatury popularyzacja zagadnień śląskich i dlatego mimo wspomnianych usterek w pracy R. Horoszkiewicza pt. „Z przeszłości Opola“, należy z radością powitać fakt uruchomienia przez Tow. Przyjaciół Nauki i Sztuki w Opolu akcji wydawniczej.

Eugeniusz Poniatowski

Krótkie spięcia

Temat kanikularny

Po wojnie zaszły duże zmiany na mapie Europy, tak że nie każdemu łatwo jest się zorientować w nowych granicach poszczególnych państw. Niemniej jednak ludzie przyzwyczajają się jakoś do nich i wszystko byłoby w porządku, gdyby nie okoliczność, że wojna pozmieniała nie tylko granice, ale poprzenosiła również rozmaite miasta z miejsca na miejsce, stwarzając przez to dla ich mieszkańców, jak również i dla innych współobywateli szereg łatwo zrozumiałych przykrości.

Można to stwierdzić na przykładzie oficjalnej „Mapy Sieci Kolejowej Polski“. Stwierdzić można niestety tylko osobiście na stacjach i przystankach PKP, jakoże przedruk tej mapy jest wzbroniony, więc wobec powyższego nie możemy jej tutaj reprodukować. A szkoda, gdyż wtedy od razu każdemu wpadłyby w oczy istotne różnice, jakie poczyniła wojna, przenosząc miasta z miejsca na miejsce.

Przed wojną według „Mapy sieci Kolejowej Polski“ wygląd trasy Bielsko — Kraków przedstawiał się tak:

Bielsko — Wadowice — Kalwaria — Skawina — Kraków.

W czasie wojny Niemcy nie poczynili istotnych zmian na tej trasie, poza przemianowaniem poszczególnych nazw, wobec czego owa trasa według wydanej w roku 1943-cim mapy „Uebersichtskarte zum Taschenfahrplan fuer das Generalgouvernement“ wyglądała następująco:

„Bielitz — Wadowitz — Kalwaria — Skawina — Krakau“.

No, ale wojna skończyła się dopiero w 1945-tym i zdołała narobić tyle, że według wydanej w roku 1947-mym „Mapy Sieci Kolejowej Polski“ trasa owa przedstawia się zasadniczo inaczej, a mianowicie w ten sposób:

„Bielsko — Skawina — Kalwaria — Kraków“.

Wynika więc z tego niedwuznacznie, że po pierwsze Wadowice zostały skreślone z liczby miejscowości posiadających stacje kolejowe, a po drugie, że Skawina została przeniesiona na miejsce Kalwarii, zaś Kalwaria na miejsce Skawiny.

Niestety powyższego pozbawienia Wadowic stacji kolejowej oraz przeprowadzki Skawiny na miejsce Kalwarii, a Kalwarii na miejsce Skawiny, dokonano tak szybko i w takiej tajemnicy, że o tym nie było ani słowa w dziennikach, nie mówiąc już nawet o Polskim Radiu.

A sprawa bądź co bądź nie jest błaha. Niewątpliwie przecież mieszkańcy Wadowic musieli gorąco protestować przeciwko pozbawianiu ich stacji kolejowej, zaś mieszkańcy Skawiny i Kalwarii napewno krzyczeli w niebogłosy, kiedy ich wszystkich razem z domami, larami, penatami i piernatami przenoszono przemocą na nowe, wcale przez nich nie upragnione, miejsce pobytu.

A tymczasem o tym w Polsce jest do dziś głucho i cicho.

Dlatego też pomimo, że „Odra“ zasadniczo interesuje się głównie sprawami literacko-artystycznymi, a sprawy kolejowe znajdują się u niej na dalszym planie, bijemy na alarm z dwóch głównych powodów:

Po pierwsze, aby dać choć odrobinę satysfakcji pokrzywdzonym mieszkańcom Wadowic, Kalwarii i Skawiny, a po drugie, aby w okresie wczasów letnich ostrzec czytelników „Odry“, aby przypadkiem, gdy będą chcieli jechać do Wadowic wiedzieli, że żaden pociąg tam nie staje, ani w ogóle tam nie chodzi, oraz, że gdyby chcieli jechać do Kalwarii, to zajadą do Skawiny, zaś gdyby chcieli jechać do Skawiny, to zajadą do Kalwarii.

Tyle w imię prawdy, oraz dla skonstatowania, że wojna dała nam się jednak porządnie we znaki.

NIEJAKI X.

Tydzień Katowic

22. VI. — — 29. VI. 1947

ŻYCIE LITERACKIE

27.VI W ramach uroczystości, związanych z „Tygodniem morza“ odbył się „Wieczór literacko-wokalny“ w sali marmurowej gmachu Urzędu wojewódzkiego śląs.-dąbr. Szereg utworów tematycznie związanych z morzem, wygłosili członkowie Związku Literatów Jan Baranowicz, Aleksander Baumgardten, Jan Brzoza i Włodzimierz Żelechowski oraz członkowie Klubu Literackiego Stefan Balicki i Maria Stobiecka. Szereg utworów muzycznych odśpiewali artyści Opery Śląskiej Franciszka Słoniewska i Andrzej Hiolski.

ŻYCIE MUZYCZNE

25.VI. W sali Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach przy ul. 27 Stycznia 33, odbyła się audycja studentów P.W.S.M. z następującym programem: Rameau, Handl, Mozart, Chopin, Szmanowski i inni. W audycji udział wzięły Wy: działy: Instrumentalny i wokalny (zespoły i soliści).

ŻYCIE TEATRALNE

25.VI. W teatrze „Ateneum“ w Katowicach, przy ul. Plebiscytowej 3, wystąpi gościnnie Mały Teatr ZZK z Bielską z „Mazepą“ J. Słowackiego. Reżyserował Ernest Dominik.

29.VI. W teatrze „T.U.R.“ w Katowicach, przy ul. 3-go Maja, wystąpił gościnnie Zespół Artyst. Państw. Gimn. i Liceum im. Bolesława Chrobrego w Zabrzu. Zespół wykonał rewię pt. „Jak oświata to oświata“. Reżyserowała Lucyna Malinowska, ilustrował muzycznie Wacław Chudziecki.

Wydaje Sp. Wyd. „Czytelnik“. Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry“. Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telefon 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul Martynowa 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, 3 Maja 12. Wrocław, ul. Kościuszki 49. Tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4960. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik“, 3 Maja 12. Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik“, Katowice, ul. 3 Maja 12.

R-14401